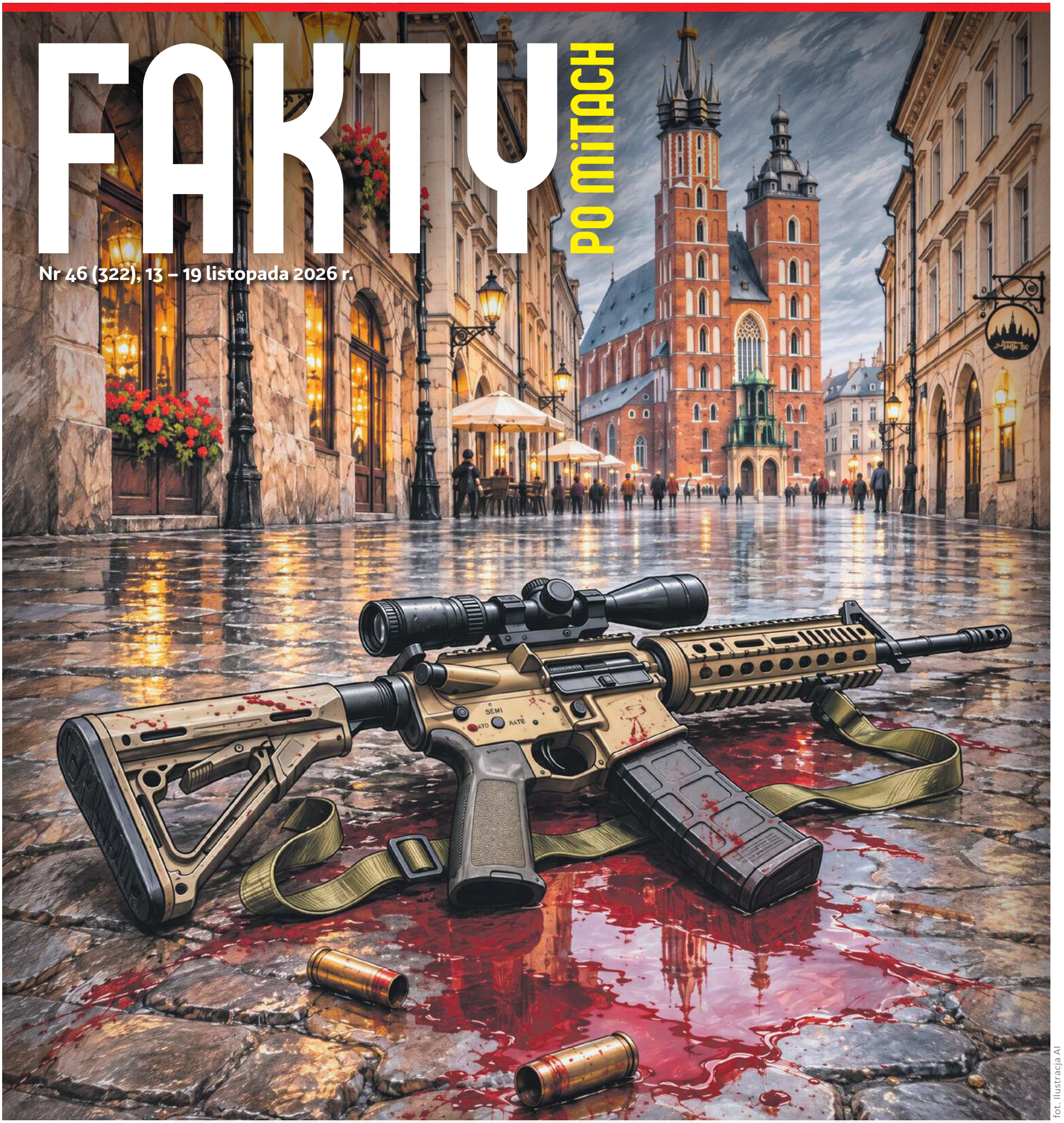
JAK SIKORSKI Z ŁAWROWEM...

str. 12



FAKTY PO MITACH

Nr 46 (322), 13 – 19 listopada 2026 r.

fot. Ilustracja AI



BEZ TYTUŁU: Byłem na Rynku w Krakowie kilkadziesiąt minut wcześniej. Nikt do mnie nie strzelał, masakry nie widziałem, nikogo nie ratowałem; w ogóle nie miałem pojęcia o tym, co się stało... (Darek Cychol, str. 2)



POLACY DO PIACHU: Dla części ciężko chorych bardziej humanitarna byłaby śmierć od ruskiej rakiety niż konanie miesiącami w cierpieniu w oczekiwaniu na pomoc lekarską... (Andrzej Sikorski, str. 3)

cena 11,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2719-5309 INDEX 434000

tygodnikfaktypomitach

faktypomitach.pl

eprasa.pl ec2fe7df1d

Akademia absurdu



Bez tytułu

Wydarzenia z krakowskiego Rynku były swoistym testem dla wszystkich. Celująco egzamin zdały służby ratownicze, obecni w miejscu tragedii ludzie, a dzięki postawie rannych policjantów – również ich formacja. A władza? Tu z peanami bym się nie rozpędzał...

Byłem na Rynku w Krakowie kilkadziesiąt minut wcześniej. Nikt do mnie nie strzelał, masakry nie widziałem, nikogo nie ratowałem; w ogóle nie miałem pojęcia o tym, co się stało. Kiedy doszło do strzelaniny, siedziałem wygodnie w jednej z restauracji na skraju Kazimierza; chyba już byłem po żurku i czekałem na drugie danie. W środku było przyjemnie, ciepło. Wśród gości przeważali zagraniczni turyści – tak jak ja nieświadomi tego, co się stało i potencjalnego zagrożenia. Ci, którzy zjedli, wychodzili. Ktoś z pieskiem na smyczy, ktoś targał kota w futerale, ci, którzy mieli mniej szczęścia, wychodzili z dziećmi czy wnukami. Obsługa uśmiechała się do wszystkich równie życzliwie, życząc im miłego dnia w kilku językach.

Nikt nic nie wie...

O tym, co się stało, dowiedziałem się od naszego znakomitego Autora Andrzeja Gerlacha, a było to dwadzieścia, dwadzieścia kilka minut po piętnastej. Chcąc zdobyć pełniejszą wiedzę, zadzwonił do pewnej bardzo ważnej i z racji funkcji wpływowej osoby w Krakowie. Nic nie wiedziała, a o masakrze też dowiedziała się od dr. Gerlacha. Kelner, który przyniósł mi drugie danie, miał mniejszą wiedzę ode mnie, bo niby mieliśmy dostęp do tych samych informacji w internecie, ale on pracował: przyjmował zamówienia, roznosił michy, kasował należności i wypuszczał uśmiechniętych klientów z psami, kotami i dziećmi.

Chwilę po godz. 16 wyczytałem, że sprawca został postrzelony i zatrzymany. Nie było potwierdzenia, że działał sam, a równocześnie pojawiały się informacje, że mógł mieć wspólnika. Potrzebowałem się przemieścić na spotkanie, ale miałem problem z zamówieniem transportu (Uber, Bolt), bo kierowcy nie chcieli brać zleceń z miejsca, w którym byłem. Dlaczego, wyjaśnił mi kelner: włączył telefon i pokazał mi powód na mapie miasta – znajdowaliśmy się 200-250 metrów od miejsca, w którym doszło do postrzelenia policjantów i zamachowca. Nie słyszałem wystrzałów, niczego nie widziałem, nie czułem się zagrożony. Ale zmroziło mnie, gdy zrozumiałem, że wszyscy goście tej sporej restauracji wychodzili – potencjalnie – pod lufę zamachowca. Wyjaśniam: nie mam wiedzy, by ucierpiał któryś z moich współbiesiadników; ale potencjalnie mogło się tak stać.

Myśli nieuczesane

I tu pojawia się moje pierwsze zastrzeżenie do władz. **Co z systemem ostrzegania przed zagrożeniami?** Przecież wystarczy pojawienie się rosyjskiego drona pod Lwowem, a już cała Lubelszczyzna wie o zagrożeniu. W centrum najpopularniejszego turystycznie miasta w Polsce pojawia się szaleniec z bronią i brak jest informacji o niebezpieczeństwie, które można było wysłać za pośrednictwem RCB na telefony ludzi znajdujących się w centrum Krakowa. Z prostym zaleceniem schronienia się bądź pozostania w miejscach względnie bezpiecznych (sklepy, kościoły, restauracje itp.). Rozumiem, że gdyby informacja taka dotarła do pracowników restauracji, w której byłem, namówiliby klientów na wstrzymanie się z wyjściem i wypicie jeszcze jednej herbaty. Podobno system działa. A minister cyfryzacji przekonuje nawet, że nie powinniśmy się bać potencjalnej wojny z Rosją. To znaczy, że terrorysta z karabinem tym bardziej nie powinien być nam straszny?

Moja druga refleksja wiąże się z okolicznościami strzelaniny między policjantami i świrem. Zamachowiec był uzbrojony w karabinek AR-15, którego pociski mogły przebijać standardowe kamizelki kuloodporne stosowane do ochrony przed amunicją pistoletową. Sam również miał na sobie kamizelkę kuloodporną. Tymczasem interweniujący policjanci dysponowali jedynie bronią krótką, której pociski miały około 3-4 razy mniejszą energię kinetyczną i przed którymi chronią nawet kamizelki o stosunkowo niskiej klasie odporności balistycznej. I tu rodzi się pytanie: dlaczego? Nie zadowala mnie odpowiedź, że takie są przepisy. Skoro od kilku lat żyjemy bombardowani informacjami o Rosjanach przygotowujących się do napaści na nasz kraj, skoro kilka razy w tygodniu słyszymy o jakichś (rzekomych) prowokacjach służb rosyjskich, o przygotowaniach do wykolejenia pociągu, podpaleniach (galerii handlowych, wysypisk śmieci), zamachach na życie rosyjskich opozycjonistów mieszkających w Polsce, to **dlaczego ci, którzy mają nas bronić, są wyposażeni gorzej niż świr – hobbysta broni?** Nigdy nie wydawaliśmy więcej na zbrojenia i szeroko rozumiane bezpieczeństwo. Jak to się stało, że dozbrajanie nie obejmuje policji? Dlaczego na wyposażeniu każdego radiowozu nie ma broni długiej? Dlaczego w sytuacji zagrożenia, w której ponoć jesteśmy, deklaracje naszej możliwości obrony wyglądają na frazesy?

Władza od samego początku tych tragicznych wydarzeń przestrzegała przed **fałszywymi informacjami** (*fake news*). (Daruję sobie wątek Sakiewicza i TV Republika, bo do pewnego poziomu nie warto się zniżać). No to mam pytanie do premiera: co dalej z autorem chyba pierwszego poważnego *fake newsa*, że zamachowiec miał poglądy „bardzo, bardzo radykalne" i był „zafascynowany ideologiami skrajnie prawicowymi"? Zdaje się, że opinie te się nie potwierdziły, ale za to znamy autora tego „fejka" – Marcin Kierwiński, minister spraw wewnętrznych i administracji. Jak zamierza go pan ukarać, premierze: dymisja czy dymisja i postępowanie prokuratorskie? Jeśli ścigacie ludzi za nazwanie kogoś w stroju wojskowym żołnierzem, to za próbę upolitycznienia tej tragedii też chyba powinniście... Inna sprawa, że M. Kierwiński sprawiał wrażenie, że nie bardzo wiedział, co mówi. Domyślam się, że to efekt przepracowania, ale w takim stanie lepiej było położyć go spać, bo jego widok nie poprawiał poczucia bezpieczeństwa.

Padały apele władz, **by nie upolityczniać tej tragedii**. No to czemu miała służyć ta (przepraszam za kolokwializm w tych okolicznościach) szopka z wieczorną odprawą w Krakowie prowadzoną przez premiera D. Tuska? Fajnie wyglądał na niej wojewoda małopolski w polarze wojskowym (jak to w urzędzie). Ale minister sprawiedliwości miał fajniejszy polar, bo w barwach maskujących. Przybył do Krakowa powiedzieć, że „nad sprawą pracuje siedmiu prokuratorów". I co z tego? Jakby było ich pięciu lub dziewięciu, też by przyjechał? Wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz przybył, żeby przed kamerami powiedzieć premierowi, że zamachowiec nie był żołnierzem. Od biedy zrozumiałbym jego obecność, gdyby było odwrotnie, ale w tej sytuacji... Odezwał się też szef tajnych policji Tomasz Siemoniak, mówiąc, że i jego szpiedzy szpiegują rzeczywistość. I znowu: co w tym dziwnego? Przybył przedstawiciel prezydenta. Zupełnie, jakby nie mógł sobie w domu włączyć telewizora...

Znaki czasu

W tym teatrze obłudy obrzydliwie brzmiały emitowane we wszystkich telewizjach apele, by nie udostępniać w internecie zdjęć z tych tragicznych wydarzeń. Padały na tle takich właśnie obrazów. Bez należytego szacunku okazywanego ofiarom.

Rząd obiecuje „pochylić się" nad problemem dostępu do broni i radykalizacji postaw Polaków. Poważnie? Przecież program „Strzelnica w powiecie" to program rządowy... To przecież wy, rządzący, zachęcacie Polaków do przejścia darmowych szkoleń wojskowych i tworzenia nowych klas ze specjalnością wojskową. Wy organizujecie wojskowe pikniki dla dzieci i z dumą zasypujecie media komunikatami o kolejnej broni, która trafi do Polski. A radykalizacja postaw? To przecież efekt polityki ostatnich 21 lat; bardzo świadomej.

+++

Składam szczere i głębokie wyrazy współczucia żyjącym ofiarom krakowskiej tragedii i bliskim ofiar śmiertelnych. Chylę czoła przed ofiarnością policjantów, służb ratowniczych i zwykłych ludzi niosących pomoc potrzebującym. Przykro mi to pisać, ale czuję, że polityczny festiwal, który oglądaliśmy, nijak się ma do Waszych cierpień, dowodów męstwa i poświęcenia.

Darek Cychol

FAKTY bez mitów

Świetnie bawili się na wycieczce do Warszawy uczniowie Liceum Ogólnokształcącego Centrum Służb Mundurowych w Zamościu. Licealiści płci obojga, którzy w stolicy mieli m.in. zwiedzić Sejm, trafili na protest pod Trybunałem Konstytucyjnym, gdzie głośno skandowali wulgarne hasła wymierzone w Donalda Tuska i telewizję TVN. Szkoła prowadzi klasy dla przyszłych żołnierzy, policjantów i strażników granicznych – właśnie jej uczniowie dobitnie pokazali, w jakim poważaniu mają legalne władze kraju, któremu niedługo będą ślubowali wierną służbę.

***

Przeciwko podpisaniu przez MON umowy z korporacją Palantir protestowali 8 listopada aktywiści organizacji lewicowych. Działaczy, ale też posłów Franka Sterczewskiego i Darię Gosek-Popiołek wzburzyła wiadomość, że ministerstwo lekką ręką podpisało z Palantirem memorandum na dostawę systemu służącego do zarządzania polem walki. „Mamy obawę, że ten system kiedyś, przez którąś władzę w Polsce mógłby być stosowany do niedemokratycznego pacyfikowania protestów" – tłumaczył motywy protestu Sterczewski. Dziś produkty Palantira pomagają w masowych deportacjach w USA; Straż Graniczna zapewne też chętnie by z nich skorzystała.

***

Znika kolejny zakład pracy z tradycjami i znowu okazuje się, że państwo niewiele może zaoferować jego załodze, która za upadek nie ponosi żadnej odpowiedzialności. Fabryka Maripol w Kobylnicy (woj. pomorskie) wkrótce pożegna się z całą grupą 259 pracowników, bo produkcja mebli w Polsce okazuje się nieopłacalna. Powiatowy Urząd Pracy w Słupsku, który powinien udzielić pomocy zredukowanym, rozkłada ręce – nawet gdyby chciał posłać ich na szkolenia przyuczające do nowej pracy, to dopiero w styczniu będą na to fundusze.

A.S.

eprasa.pl ec2fe7df1d



Polacy do piachu

Mieszkańcy Najjaśniejszej, państwa aspirującego do miana 20. najpotężniejszej gospodarki świata, będą umierać z braku dostępu do lekarza.

W Warszawie odbył się „szczyt" szpitali powiatowych, w którym uczestniczyło ponad 400 osób. Do stolicy na spotkanie z ministrą zdrowia przyjechali prezesi i dyrektorzy szpitali, starostowie, członkowie zarządów powiatów, urzędnicy. Jednak Jolanta Sobierańska-Grenda miała ważniejsze sprawy na głowie niż tragiczna sytuacja ponad 200 szpitali. Nie zaszczyciła gości swoją obecnością; w jej zastępstwie pojawił się wiceminister zdrowia Tomasz Maciejewski, który nie miał jednak nic do powiedzenia i został „wybuczany" przez zgromadzonych…

„Jeżeli chcecie nam powiedzieć, że macie w zanadrzu zlikwidowanie jednej trzeciej szpitali powiatowych, to nam to powiedzcie uczciwie! Będziemy wiedzieli, na czym stoimy. Jechałem dwieście kilometrów. Z czym ja mam wrócić na radę powiatu? Co ja mam powiedzieć ludziom na spotkaniach? Czy ja mam ograniczyć tę działalność? Ja wiem, do czego to zmierza. Za chwilę okaże się, że to samorządy będą winne zamknięcia szpitali. Powiedzcie nam prawdę. Po tę prawdę przyjechałem i chcę ją usłyszeć!" – krzyczał zdenerwowany Władysław Karski, wicestarosta powiatu tureckiego.

Zagrożenie dla zdrowia i życia

Samodzielne publiczne zakłady opieki zdrowotnej (SPZOZ) są zadłużone na blisko 40 mld zł. Części lecznic grozi bankructwo. Inne ograniczają działalność, np. odmawiając pacjentom chorym na raka włączenia do programu lekowego, bo NFZ nie płaci. Tym sposobem państwo w majestacie prawa dokonuje eutanazji.

Szpital w Lublińcu „jedzie na oparach". Zaległości sięgają 80 mln zł, na jego konto weszli komornicy, brakuje lekarzy. W placówce nie działa blok operacyjny, zawieszono OIOM, chirurgię, ginekologię i położnictwo z neonatologią. „W obecnej sytuacji stan szpitala jest tragiczny. Myślę, że szpital jest w stanie agonalnym. Ta sytuacja nie wróży niczego dobrego, nawet czasami jest zagrożeniem dla zdrowia i życia pacjentów tam hospitalizowanych" – mówił w rozmowie z TVP Katowice dr Jan Borzymowski, przewodniczący Komisji Zdrowia i Polityki Społecznej, radny powiatu lublinieckiego.

Szpital w Skarżysku-Kamiennej jest „pod kreską" na prawie 160 mln zł. Wśród wierzycieli są firmy medyczne i farmaceutyczne, które serwisują sprzęt medyczny, dostarczają niezbędne do funkcjonowania placówki medykamenty, odczynniki. Brak dostaw leków z programu lekowego dla chorych na stwardnienie rozsiane spowodował, że szpital zaprzestał kontynuowania terapii, a cierpiący na tę chorobę pacjenci musieli poszukać leczenia w innych placówkach województwa świętokrzyskiego. Od kilku miesięcy szpital nie ma zawartej umowy na wodę i ścieki. Już w lutym 2025 r. prezydent Skarżyska-Kamiennej Arkadiusz Bogucki alarmował, że dług szpitala wobec Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji „może skutkować groźbą ewakuacji pacjentów i zamknięciem szpitala".

Pracownicy szpitala w Sanoku przystąpili do protestu głodowego „To jest już krzyk rozpaczy. Rządzący, jeżeli nie rozumieją, jak poważny jest problem, a do tego kompletnie chowają głowę w piasek, co najmniej lekceważą nasze zdrowie i życie" – mówiła Małgorzata Sawicka, przewodnicząca Związku Zawodowego Pielęgniarek i Położnych. Dług szpitala przekracza 200 mln zł, wprowadzono drastyczne oszczędności, a pracownikom ograniczono wypłaty wynagrodzeń do 70 procent należnych kwot. Podobna sytuacja jest w szpitalu w Lesku, którego dług wynosi 130 mln zł. „Ludzie w naszym szpitalu głodują. Dlaczego? Bo nie jesteśmy w stanie im płacić. Dlaczego nie jesteśmy w stanie im płacić? Bo już nie jesteśmy w stanie u nikogo się zadłużyć. Jesteśmy blisko zamknięcia szpitali w Sanoku i Lesku" – stwierdził starosta sanocki Robert Pieszczoch.

Patologiczny mechanizm wynagrodzeń

Sytuacja jest tragiczna z kilku lub nawet kilkunastu powodów. Największym złem sytemu jest tzw. ustawa podwyżkowa obowiązująca od 2017 r. (i znowelizowana w 2022 r.). Według prawa, podwyżki pracowników medycznych waloryzowane są co roku (niezależnie od budżetów szpitali czy stanu finansów NFZ) na podstawie średniego wzrostu płac w gospodarce narodowej i pomnożone przez współczynnik przypisany do konkretnej grupy zawodowej (przy ustalaniu wynagrodzenia brane są pod uwagę m.in. dyplomy, specjalizacje itp.). Zgodnie z ostatnią lipcową waloryzacją, najniższa pensja wynagrodzenia zasadniczego w ochronie zdrowia na pełnym etacie dla sanitariuszy i salowych wynosi ok. 5,8 tys. zł brutto, a dla lekarza ze specjalizacją ok. 13 tys. zł brutto. Faktyczne zarobki są o wiele wyższe, a np. średnia pensja pielęgniarki po studiach ze specjalizacją wynosi ok. 15 tys. zł brutto. Są też takie, które zarabiają po 20 tys. zł. Oczywiście nie można mieć do nich o to pretensji, bo wykonują ciężką i odpowiedzialną pracę i przez wiele lat były marnie opłacane, ale system nie wytrzymuje takiego obciążenia finansowego. Podobnie jest z lekarzami, którzy zatrudnieni na kontraktach zarabiają fortunę, np. po 1-3 miliony złotych rocznie. Coroczny wzrost pensji personelu medycznego spowodował, że obecnie w niektórych szpitalach aż 75-80 proc. przychodów pochłaniają koszty koszty wynagrodzeń, co powoduje, że brakuje pieniędzy na leki, sprzęt, inwestycje, spłatę zobowiązań itp.

Machinacje Kaczyńskiego i Tuska

Kolejnym głównym gwoździem do trumny systemu zdrowia jest tzw. ustawa skok na kasę NFZ z 2022 r. Otóż rząd PiS przerzucił finansowanie części procedur, które wcześniej znajdowały się w gestii Ministerstwa Zdrowia, do Narodowego Funduszu Zdrowia. Chodzi m.in. o świadczenia wysokospecjalistyczne, bezpłatne leki dla seniorów i kobiet w ciąży, a także leki i wyroby medyczne dla programów polityki zdrowotnej. I byłoby wszystko pięknie, ale nie poszły za tym pieniądze i dziura w budżecie NFZ zwiększyła się o kilkanaście miliardów złotych, choć jeszcze na etapie procedowania ustawy środowiska medyczne ostrzegały przed takim rozwojem sytuacji. Naczelna Rada Lekarska stwierdziła, że przerzucanie finansowania części świadczeń zdrowotnych i leków z budżetu państwa do NFZ – bez adekwatnego zwiększenia jego budżetu – jest manewrem narażającym zdrowie i życie pacjentów oraz pchającym publiczną ochronę zdrowia w kierunku dalszej zapaści.

Zdaje się, że premier Donald Tusk i ministra Jolanta Sobierańska-Grenda nie mają kompletnie pomysłu, jak uzdrowić służbę zdrowia. Przygotowany przez rząd pakiet zmian, który trafił niedawno do Sejmu w odpowiedzi na aferę w warszawskim Szpitalu Południowym, doprowadzi do szybszej agonii systemu. Zdaniem specjalistów, w wyniku wprowadzonych zmian część szpitali zostanie zlikwidowana, a personel zwolniony, co jeszcze bardziej utrudni pacjentom dostęp do specjalistycznych świadczeń ratujących zdrowie i życie. Zaś nieograniczoną kontrolę nad placówkami uzyska prezes NFZ, a jego podwładni – nie będąc medykami – zyskają dostęp do dokumentacji medycznej i nie będą odpowiadać za przekroczenie uprawnień lub ujawnienie tajemnicy.

Wszystko to razem wzięte spowoduje potężny chaos i dezorientację pacjentów w sytuacji, gdy rządzący nieustannie straszą Polaków wojną. Dla części ciężko chorych bardziej humanitarna byłaby śmierć od ruskiej rakiety niż konanie miesiącami w cierpieniu w oczekiwaniu na pomoc lekarską.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl ec2fe7df1d

WIARA CZYNI CZUBA

USA: wycena krzywdy

Archidiecezja nowojorska zapłaci 800 mln dolarów ofiarom molestowania seksualnego przez duchownych i pracowników Kościoła. Arcybiskup cieszy się, że wreszcie będzie mógł wrócić do ewangelizacji.

Pieniądze dostanie około 1 300 osób. Ich sprawy dawno by się przedawniły, ale stan Nowy Jork czasowo pozwolił ofiarom pozywać sprawców bez względu na to, ile czasu minęło. Batalia sądowa trwała pięć lat, a Kościół w tym czasie wyprzedawał majątek. W maju br. prawnicy ofiar ostrzegali, że jeśli ktoś odrzuci zaproponowaną przez archidiecezję ugodę, może ona ogłosić upadłość. Zgodzili się więc wszyscy. Teraz każda ofiara dostanie 250 tys. dolarów od razu albo odszkodowanie w wysokości ustalonej indywidualnie przez arbitra. Kościół musi też ujawnić nazwiska oskarżonych księży. Po podpisaniu ugody abp Ronald Hicks poinformował księży, że archidiecezja znów skupi całą uwagę na misji. Po takim skandalu zostaje tylko jeden problem: kogo jeszcze przekona.

Kazachstan: miłość bliźniego

Athanasius Schneider, biskup pomocniczy Astany, nazywa muzułmańskich imigrantów najeźdźcami, a Watykan ich wspólnikiem.

Biskup udzielił wywiadu tradycjonalistycznemu katolickiemu portalowi The Remnant. Pytany o niedawne zamieszki we Francji i innych krajach Europy, uznał je za skutek islamskiej „inwazji". Według niego, muzułmanie pokazują siłę, żeby przestraszyć chrześcijan. Za tę sytuację obwinił Watykan. Podejrzewa, że watykańscy decydenci kolaborują z europejskimi politykami, a ci proszą Stolicę Apostolską, by „pobłogosławiła" imigrację. Liberałowie mieli przy tym „w diabelski sposób" przeinaczyć Pismo Święte i przedstawiać miłość bliźniego tak, jakby nakazywała wpuszczanie muzułmanów. Biskup wezwał Europejczyków do pokojowego oporu i walki o surowsze prawo. Podsumował krótko: „To nie jest imigracja, to jest inwazja".

Rosja: frontowy batiuszka

Niedawno patriarcha Cyryl przekonywał, że kapłan nie powinien brać do ręki broni. Teraz prawosławni klerycy uczą się obsługi Kałasznikowa.

Szkolenie odbywa się w ramach nowego kierunku magisterskiego w Jekaterynburskim Seminarium Duchownym. Studenci ćwiczą składanie i rozkładanie karabinka Kałasznikowa. Zapoznają się też ze sprzętem wojskowym i dronami. Zajęcia praktyczne prowadzą wojskowi specjaliści. Kierunek uruchomiono decyzją Świętego Synodu Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Jeszcze w 2023 r. patriarcha Cyryl ostrzegał, że duchowny nie może brać do ręki broni, ponieważ zabicie człowieka może pozbawić go godności kapłańskiej. W rosyjskiej Cerkwi zasady wiary zależą od tego, czego akurat potrzebuje Kreml.

USA/Izrael: mądrość kaznodziei

Poparciem tego, że religia nie ma nic wspólnego z nauką, jest rabin Yosef Mizrachi. Izraelsko-amerykański kaznodzieja postanowił popisać się wiedzą o Hindusach. Nagranie jego kazania wywołało oburzenie w Indiach i Izraelu.

W nagraniu z końca października br. Mizrachi opowiadał o Hindusach oddających cześć krowom. Twierdził, że niektórzy piją mocz tych zwierząt, a nawet zlizują go z podłogi. Sugerował też, że praktykują to indyjscy lekarze i żartował z pacjentów, którzy mogliby trafić na takiego medyka w szpitalu w Delhi. Na zakończenie podziękował Bogu, że nie stworzył go jako jednego z nich. Nagranie szybko obiegło media społecznościowe. Izraelski badacz Yeshaya Rosenman zarzucił rabinowi, że szkodzi wizerunkowi Izraela. Głos zabrał również ambasador Palestyny w Indiach, potępiając wyśmiewanie cudzej wiary. To nie pierwszy tego typu przebłysk inteligencji Mizrachiego. W 2015 r. przekonywał, że podczas Holokaustu zamordowano nie sześć milionów Żydów, lecz mniej niż milion. Nauka nie jest jego mocną stroną, ale z pewnością dobrze opanował religijną wersję wyższości nad bliźnimi.



fot. Wikipedia

Czechy: nauka o szukaniu

Arcybiskup ołomuniecki Josef Nuzík spotkał się z ofiarami wykorzystywania seksualnego w Kościele. Po raz siódmy…

Spotkanie w Zlinie rozpoczęło się w kościele Matki Bożej Wspomożycielki Chrześcijan, gdzie abp Nuzík wygłosił standardową formułkę, że jako przedstawiciel Kościoła odczuwa wstyd i przeprasza. Wezwał do pokuty, uzdrowienia i działań, które zapewnią bezpieczeństwo we wspólnotach kościelnych i inne bla, bla, bla. Dopiero potem przyszła pora na rozmowę. Wzięło w niej udział 12 osób, w tym członkowie diecezjalnego zespołu pomocy ofiarom. Skrzywdzeni przez księży opowiadali, jak działali ich oprawcy: izolowali, zdobywali zaufanie ich rodzin i wykorzystywali relację zbudowaną przy spowiedzi. Krytykowali też sposób, w jaki Kościół rozpatrywał ich zgłoszenia i prowadził postępowania. Arcybiskup podziękował za świadectwa, które – jak mówił – pomogą szukać rozwiązań. Kościół po raz siódmy szuka rozwiązań. Szuka tak długo, jakby bał się je znaleźć.

Malezja: pielgrzymkowy przekręt

Muzułmanie przez całe lata odkładają pieniądze na pielgrzymkę do Mekki. Tymczasem fundusz zarządzający ich oszczędnościami stał się przedmiotem wielkiego skandalu finansowego.

Tabung Haji to państwowa instytucja, która pomaga muzułmanom gromadzić środki na pielgrzymkę do Mekki. Ma ponad 9,8 mln deponentów. Raport królewskiej komisji śledczej z br. ujawnił poważne nieprawidłowości w zarządzaniu funduszem, polityczne naciski i wątpliwe praktyki księgowe. Zarzuty korupcyjne usłyszeli już byli urzędnicy, w tym były minister ds.religijnych. Sułtan Sharafuddin Idris Shah domaga się pociągnięcia winnych do odpowiedzialności. To ciekawe, że droga do świętego celu często prowadzi przez bardzo przyziemne zakręty/przekręty.

Wenezuela: domniemanie niewinności

Na oczach wiernych policja zatrzymała ks. Ramóna Antonio Acosta Franco i ks. Carlosa Eduardo Quintero z ordynariatu polowego w stanie Anzoátegui. Chodzi o podejrzenie wykorzystywania seksualnego czterech ministrantów.

Według prokuratury, ofiarami są ministranci i członkowie parafialnego chóru w wieku 15-16 lat. Do nadużyć miało dochodzić na terenie świątyni. Duchowni mieli zmuszać ich do czynności seksualnych, nagrywać, a potem straszyć upublicznieniem filmów. W telefonie jednego z poszkodowanych zachowała się wiadomość z WhatsAppa, w której ksiądz kazał mu być gotowym na następną napaść. Ze względu na wojskowy status, duchowni zostali osadzeni w jednostce Gwardii Narodowej w Puerto de la Cruz. Akta sprawy utajniono na 45 dni, a stronom zakazano wypowiedzi w mediach. Ordynariat zapewnia o pełnym szacunku dla prawa, a diecezja przypomina o… domniemaniu niewinności. O ofiarach nie wspomina.

Pakistan: wyrok w ciemno

Mimo wątpliwości dotyczących wiarygodności świadków i zastrzeżeń zgłaszanych przez obrońcę, Afgańczyk Mullah Din został skazany na śmierć za bluźnierstwa.

Do zdarzenia miało dojść w 2022 r. w Peszawarze. Według świadków, Din publicznie obrażał proroka Mahometa, a także Jezusa i Mojżesza. Został zatrzymany przez mieszkańców i przekazany policji. Podczas procesu obrońca z urzędu wskazywał na rozbieżności w zeznaniach świadków oraz brak dokładnego zapisu rzekomych bluźnierczych słów w pierwszym zawiadomieniu. Mimo to, sąd nie miał problemu z wydaniem wyroku śmierci, który wymaga jeszcze zatwierdzenia przez sąd wyższej instancji. Tak właśnie wygląda rzeczywistość w kraju, w którym religijny dogmat znaczy więcej niż rozsądek, a brak dowodów nie chroni człowieka przed religiantami.

eprasa.pl ec2fe7df1d

POLETKO PANA B.©

TRZECIA OKUPACJA

Dominikanie z warszawskiego Służewa ogłosili, że znów żyją pod okupacją. Tym razem okupantem jest Rada Warszawy. W połowie października uchwaliła plan zagospodarowania okolic klasztoru, który chroni widok na kościół i zabudowania zakonne. Przed nimi nie wolno więc stawiać niczego, co by je zasłaniało. Przeor o. Lucjan Sobkowicz grzmi, że plan zamieni teren w „skansen", uniemożliwi niezbędne remonty i zagraża dalszemu funkcjonowaniu klasztoru. Najwięcej emocji budzi jednak jego lekcja historii. Klasztor zaczęto budować w 1935 r., ale prace przerwał okupant hitlerowski. Po wojnie dokończyć ich nie pozwolili komuniści, a teraz „już w wolnej Polsce" nadal się nie da. Hitlerowcy, komuniści i warszawscy radni w jednym szeregu, takiego porównania nie powstydziłby się nawet Rydzyk. Czy dla zakonu każdy, kto nie pozwala rozwijać interesu, jest okupantem?

KRZYŻ ZAMIAST TERAPII

Ksiądz prof. Jerzy Szymik udzielił młodym księżom rady na całe życie. W felietonie „List do młodego księdza" w „Gościu Niedzielnym" napisał: „Cierpienie jest dla Ciebie, miłość dla owiec – cokolwiek na ten temat myśli współczesna kultura terapeutyczna". Według duchownego, życiowych problemów nie rozwiąże terapia, nauka ani *work-life balance*, tylko… łaska. Za ten średniowieczny bełkot na profesora posypały się gromy. Dominikanin Maciej Biskup wytknął mu ton „paternalistyczny i klerykalny". Metropolita warszawski abp Adrian Galbas przypomniał, że księżom w kryzysie należy się profesjonalna pomoc. Szymik szybko się poprawił. Wyjaśnił, że terapii wcale nie kwestionował, tylko wyraził się „niewystarczająco wyraźnie". Krytykom na pocieszenie zacytował e-mail od czytelniczki: „ofiaruję za księdza profesora moje cierpienie". Hierarchia cierpienia jest więc jasna: młody ksiądz cierpi za owce, owce cierpią za profesora, a profesor… uczy o cierpieniu.

BANICJA PROBOSZCZA

Wszyscy pamiętamy ks. Józefa Zborka z Grojca pod Oświęcimiem. Parafianie bronili go tak żarliwie, że z jego plebanii biskupa Romana Pindela musiała w nocy wyprowadzać policja. Ostatecznie hierarcha odwołał proboszcza za „bezprawne czerpanie korzyści z ofiar mszalnych". Diecezja zarzuca mu, że odprawiał po kilka mszy dziennie, a w niedziele nawet sześć. Nikt nie mówi tego wprost, ale wniosek jest prosty: pleban nie dzielił się z kurią. Jak wynika z relacji parafian, ksiądz przez 29 lat posługi miał oddawać pensję katechety… na obiady dla dzieci z ubogich rodzin. Z tej patowej sytuacji kuria nawet nie zamierzała wyjść z twarzą. Nie nagrodziła proboszcza, nie przyznała się też do złej oceny sytuacji. Zadała ostateczny cios. Ks. Zborek dostał zakaz przebywania na terenie dekanatu osieckiego. Parafianie nie wiedzą więc, czy będzie mógł pojawić się na odpuście, podczas którego chcieli go uroczyście pożegnać.

SEKRET SEKRETARZA

Bydgoszczanin Paweł Kaszyński wystąpił na Facebooku na żywo z ciężkimi oskarżeniami wobec ks. Damiana Pawlikowskiego, sekretarza biskupa bydgoskiego i proboszcza parafii NMP Nieustającej Pomocy. Zarzucił mu, że popełnia grzech ciężki i publicznie w nim trwa. Podważył też jego prawo do sprawowania posługi i wyliczył, jakie kary kościelne powinny go spotkać. Na czym grzech sekretarza miałby polegać – nie zdradził. Biskup Krzysztof Włodarczyk natychmiast rzucił się sekretarzowi na ratunek. W specjalnym oświadczeniu nazwał zarzuty nieprawdziwymi i krzywdzącymi, ale szczegółów nie wyjawił. Wyznał tylko, że oskarżenia wiążą się z „wyjątkowo delikatną sprawą małżeńską oraz rodzinną". Ordynariusz zapowiada kroki prawne w obronie sekretarza i prosi wiernych o modlitwę w jego intencji. Najbardziej oburza go jednak, że ktoś publicznie uzurpuje sobie prawo do oceny życia kapłana. Rzeczywiście, to bezczelność: przez wieki Kościół z ambony rozliczał grzechy wiernych, a teraz wierni śmią rozliczać księdza?



WSTYDLIWA PIĄTKA

Na krakowskim Osiedlu Podwawelskim wojna parafian z proboszczem wchodzi w nową fazę. Odkąd w 2020 r. ks. Jarosław Nowak objął parafię Matki Boskiej Fatimskiej, odeszło z niej czterech wikariuszy i ok. 40 ministrantów. W końcu miarka się przebrała. Były organista poskarżył się kardynałowi Rysiowi na nieterminowe wypłaty, a wierni przypomnieli, że proboszcz ogłosił niegdyś, iż pięć złotych na tacę to wstyd. Mało tego. Duchowny pożyczył parafii 680 tys. zł na remont i odbiera dług w ratach po 10 tys. zł. Parafianie zauważyli jednak, że w harmonogramie spłat pojawiło się dodatkowych 208 tys. zł kosztów, których nie było w umowie. Zawiadomili więc skarbówkę i zażądali zmiany proboszcza. Kuria zapewnia, że sprawę wyjaśnia. Sam ks. Nowak zarzutów nie komentuje. Straszy natomiast krokami prawnymi w obronie swojego dobrego imienia. Swoją drogą to, jak skutecznie „pasterze" potrafią odstraszać własne owieczki, musi być fascynującym zjawiskiem dla teologów, filozofów i psychologów. Proboszcz od tych nauk woli chyba matematykę. Żeby uzbierać dodatkowe 208 tys. zł, przez cały rok co niedzielę po pięć zł musiałoby wrzucać 800 wiernych. Lepiej było dopisać coś pod kreską i wyjść na swoje.

RACHUNEK SUMIENIA

Ponad 20 lat ks. Eugeniusz S. rządził gdańską parafią św. Teresy Benedykty od Krzyża jak swoim folwarkiem. W 2023 r. sąd skazał go za przywłaszczenie 1,5 mln zł z kont parafii i parafialnego przedszkola. Duchowny robił, co mógł, odwołując się do wszystkich ziemskich instancji, ale nawet Sąd Najwyższy oddalił jego wniosek o wznowienie postępowania. Zostaje mu więc kara: dwa lata więzienia w zawieszeniu, 100 tys. zł grzywny i zwrot parafii około 1 mln zł. Według ustaleń śledczych, proboszcz przelewał pieniądze na prywatny rachunek albo wypłacał gotówkę. Gdy parafia sprzedała działkę, przelał sobie 400 tys. zł, a dwa miesiące później kupił za taką samą kwotę mieszkanie. W 2011 r. sprzedał je znajomej, która w sądzie nie pamiętała, ile i jak za nie zapłaciła. Duchowny zapewniał zaś, że wszystko czynił „dla dobra społecznego". Kuria przez lata niczego nie zauważyła. Ciekawe, czy nie potrafiła, czy też, jak proboszcz, troszczyła się o dobro…

SZACH Z AMBONY

Ksiądz Daniel Wachowiak, proboszcz z podpoznańskich Koziegłów i internetowy kaznodzieja z ponad 56 tys. obserwujących na X, postanowił rozsądzić spór o Trybunał Konstytucyjny. „Niech Bóg błogosławi naszą Ojczyznę. Niech Bóg błogosławi Prezydenta Polski" – modlił się, pomijając rząd. Dał mu za to lekcję szachów. „Można nie lubić zasad gry w szachy (…). Ale trzeba grać w granicach przyjętych zasad" – pouczał przekonując, że władza „na siłę przestawia pionki", a „Ojczyzna przegrywa". Zajęty połajanką proboszcz najwyraźniej przespał pierwsze ruchy tej „partii szachów". W 2015 r. Sejm z większością PiS wybrał troje sędziów na miejsca już obsadzone, a Andrzej Duda przyjął od nich ślubowanie. Od trojga prawidłowo wybranych nie przyjął go, choć Trybunał orzekł, że ma taki obowiązek. Tę tradycję kontynuuje Karol Nawrocki, za którego tak żarliwie modli się ks. Wachowiak. Nie przyjął ślubowania od pięciorga z ośmiorga sędziów wybranych przez obecny Sejm. Widocznie w kościelnych szachach zasady obowiązują tylko jedną stronę i tylko jej gońcom wolno skakać po szachownicy jak skoczkom. Tylko co na to zwykłe pionki?

Katarzyna Wilk-Wojtczak

eprasa.pl ec2fe7df1d

100 świętych kłamstw



Po stu największych zbrodniach Kościoła, przyszła kolej na sto kłamstw….

Max Bojarski, autor „Czarnej księgi katolicyzmu…”, w drugim tomie rozprawia się z kościelnymi mitami: od daty narodzin Jezusa przez trzy czaszki jednego świętego po „lawendową mafię” i statystki liczby wiernych.

Katarzyna Wilk-Wojtczak: „Jezus nie urodził się 25 grudnia…”. To chyba idealny temat do rozmowy przy wigilijnym stole? (śmiech)

Max Bojarski: Znakomity, choć nie jestem pewien czy wszyscy uczestnicy wigilii będą nam za tę rozmowę wdzięczni… W Nowym Testamencie nie znajdziemy ani dnia, ani miesiąca narodzin Jezusa. Pierwsi chrześcijanie nie obchodzili rocznicy jego przyjścia na świat, co więcej, wpływowy wczesnochrześcijański teolog Orygenes przypominał w tym kontekście, że w Biblii swoje urodziny świętują tylko grzesznicy: faraon i Herod. 25 grudnia pojawia się dopiero w IV wieku, gdy chrześcijaństwo jest już na prostej drodze do stania się religią państwową, bo władza lubi wszystko mieć skonkretyzowane. Skąd ta data? Głównie z zawłaszczenia święta Słońca Niezwyciężonego, w połączeniu z teologicznymi obliczeniami, według których Jezus został poczęty 25 marca.

To poważne zawłaszczenie, ale – w porównaniu do innych – bardzo niewinne kłamstwo. Które z opisanych oszustw Kościoła uważasz za najbardziej zaskakujące?

Najbardziej zdumiewa mnie, że często na ten sam temat Kościół głosi jedno w kazaniach i na katechezie, a pisze drugie, w przypisach. Na przykład to, że ewangelie nie są wspomnieniami świadków – ewangelistów, ale anonimowymi i zredagowanymi w niejasnych okolicznościach tekstami spisanymi długo po wydarzeniach, które jakoby relacjonują. Szczególnie interesuje mnie właśnie ten mechanizm: uważni czytelnicy Biblii, w tym nawet kościelni intelektualiści, widzą tam jedno, a zwykli wierni słyszą z ambon coś zupełnie innego. W książce nazywam to „podwójną księgowością”.

Czy czytając ją nasi Czytelnicy mogą spodziewać się innych emocji, czy tylko złości i jeszcze większego rozczarowania Kościołem?

Przezabawna historia wiąże się z kultem jedenastu tysięcy dziewic… Średniowiecze to szczytowy okres kościelnego biznesu związanego z handlem relikwiami. Liczbę jedenastu tysięcy najprawdopodobniej wymyślili gorliwi poszukiwacze śladów po ewentualnych towarzyszkach popularnej świętej męczennicy Urszuli, błędnie odczytując skrót, oznaczający zaledwie jedenaście dziewic męczennic. A tak się szczęśliwie złożyło, że jakiś czas później pod Kolonią odkryto ogromne rzymskie cmentarzysko. I oto pojawiły się tysiące kości, które można było przedstawić jako szczątki współmęczennic. Na wielką skalę rozwinął się handel tymi kośćmi, którym nadawano imiona, dopisywano życiorysy, tworzono dokumentacje. Kiedy okazywało się, że niektóre szkielety należały do mężczyzn albo dzieci, nie podważano legendy, tylko ją rozbudowywano, między innymi za pomocą objawień. Trudno o bardziej wymowny przykład trafienia na religijną „żyłę złota”. Ale podobnych historii jest w książce wiele, choćby cudowne rozmnażanie się szczątków pojedynczych świętych, jak na przykład głowy św. Jana Chrzciciela…



Chciałabym zadać dziesiątki pytań… ale zapytam o wspomnianą „podwójną księgowość” i jej najjaskrawszy przykład?

Medjugorje – będzie chyba najdoskonalsze. Domniemane objawienia trwają tam od 1981 r., a więc od ponad czterdziestu lat. Ale tak się składa, że niektóre przekazy przypisywane Matce Boskiej – jak stawianie się w roli pośredniczki na równi z Chrystusem czy nakazywanie miejscowym zakonnikom nieposłuszeństwa wobec ich ordynariusza – są kompletnie nie do pogodzenia z katolicką doktryną i miejscowi biskupi przez lata kwestionowali wiarygodność tych przekazów. Ale Watykan robi dobrą minę do złej gry i nie zamierza zarzynać kury znoszącej złote jajka – wokół Medjugorje rozwinął się olbrzymi biznes. Tak więc w 2024 r. Stolica Apostolska wydała dokument *nihil obstat*, dopuszczając publiczny kult, ale uchytrzając się zastrzeżeniem, że czyni to ze względu na „pozytywne owoce duchowe pielgrzymek”, natomiast „nie potwierdza nadprzyrodzonego charakteru objawień”. Kościół znalazł więc rozwiązanie bardzo wygodne: może czerpać korzyści z wielkiego ruchu religijnego, nie biorąc odpowiedzialności za prawdziwość jego fundamentów. I tak to jest z kłamstwami Kościoła. To instytucja bardzo sprytna i kiedy złapiesz ją za rękę, powie, że to nie jej ręka, bezbłędnie uzasadniając taką „teologiczną interpretację”. ●

„Czarną księgę katolicyzmu. 100 największych kłamstw Kościoła” można zamawiać na stronie Antykleryk.pl/100-klamstw lub pod numerem 798 933 153

Cyrk koloratek

Miała być wielka konferencja prasowa, publiczne pranie brudów, wewnątrzkościelne rozliczenia. „Ksiądz z osiedla” kończy starcie ze swoim zakonem pozdrowieniami z nowej parafii. I zakazem wszelkiej aktywności w internecie.

Ksiądz Rafał Główczyński, salwatorianin z parafii św. Michała Archanioła w podwarszawskim Piastowie, to jeden z najbardziej rozpoznawalnych księży w polskim internecie. Organizował „ewangelizacyjne dyskoteki” i nocne drogi krzyżowe pod Mostem Świętokrzyskim, założył konto na OnlyFans, a w lokalu po agencji towarzyskiej otworzył Klubokawiarnię Cyrk Motyli.. Wystąpił też w 3. edycji „The Traitors. Zdrajcy”. Ostatnio chciał kupić barkę i dom na Maderze. Najgłośniej zrobiło się jednak o nim w ostatnich dniach, kiedy Polska Prowincja Salwatorianów opublikowała oficjalne oświadczenie, w którym ogłosiła, że przenosi księdza do Trzebnicy i że nigdy nie wydała mu zgody na zakup barki ani domu rekolekcyjnego na Maderze. Na reakcję księdza nie trzeba było długo czekać.


fot. Facebook

Rafałowe żale

„Wkurwiłem się!!! Przepraszam za słownictwo ale jak czytam oświadczenie moich przełożonych, to inaczej nie potrafię. Od 3 miesięcy w każdy wolny dzień zapierdaam do pracy i żebrzę, żeby coś dla młodzieży zrobić. Wszyscy o tym mówili, mnóstwo ludzi mnie wspierało, oni w niczym nie pomogli, a jak teraz jak wszyscy dookoła zaczęli pytać dlaczego mnie przenoszą, to teraz napisali, że nie wiedzieli i nie miałem pozwolenia??? Że to ja prosiłem o przenosiny od 1 listopada??? Bzdury!!!” – napisał (pisownia oryginalna) ksiądz na Facebooku. „Jedyne co w tym oświadczeniu jest prawdą, to że nie jestem pedo*ilem, nie jest oszustem, nie zrobiłem nic złego. Jestem księdzem, który chciał coś dla ludzi zrobić, parę rzeczy mi się udało i chyba to zaczęło przeszkadzać” – dodał.

Zapowiedział też publikację obszernego materiału ze skanami maili wymienianych z zakonem i konferencję prasową, na której miał się rozprawić ze swoimi pracodawcami. „Realna walka z pedofi*a w kościele zaczęła się dopiero jak media o tym zaczęły pisać. Mam nadzieję, że moja historia będzie początkiem szanowania księży przez przełożonych” – odgrażał się ksiądz zaznaczając, że ślubował posłuszeństwo, a nie milczenie.

Reguła milczenia

Czekaliśmy kilka dni w prawdziwym napięciu. Znając rozmach ks. Główczyńskiego, oczekiwaliśmy czegoś spektakularnego. Najpierw na Facebooku ksiądz zamieścił zdjęcia dokumentu podpisanego przez prowincjała ks. Józefa Figla oraz sekretarza prowincji ks. Jacka Nowaka. Publikacja pojawiła się tylko na kilka minut, po czym zniknęła. Wynikało z niej, że przełożeni zakazali zakonnikowi prowadzenia działalności w mediach społecznościowych, udzielania wypowiedzi mediom oraz organizowania zbiórek charytatywnych. Ograniczenia mają dotyczyć też jego zaangażowania w działalność świeckich stowarzyszeń i firm. W dniu zapowiadanej konferencji ksiądz opublikował jedynie swoje niezbyt korzystne zdjęcie z dopiskiem: „Pozdrawiam z Trzebnicy. Wszelkie pytania proszę kierować do Polskiej Prowincji Salwatorianów”.

„Korporacja to korporacja!”, „(…) Dalej niech tak postępują to kościół zostanie tylko betonem”, „Uciszyli księdza nie ma co. Niestety jego bosowie nie robią nic i nie lubią jak się ktoś wychyla” – komentują internauci.

I tak Kościół, na własne życzenie, znów stracił w oczach wiernych.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

eprasa.pl ec2fe7df1d

Rany Mojego Miasta



Rany mojego miasta to, rzecz jasna, wina Tuska, bo jest rudy i jest folksdojczem. Tusk jest wszystkiemu winien, jak nie on, to na pewno zawiniła lewica albo brak religii w szkole.

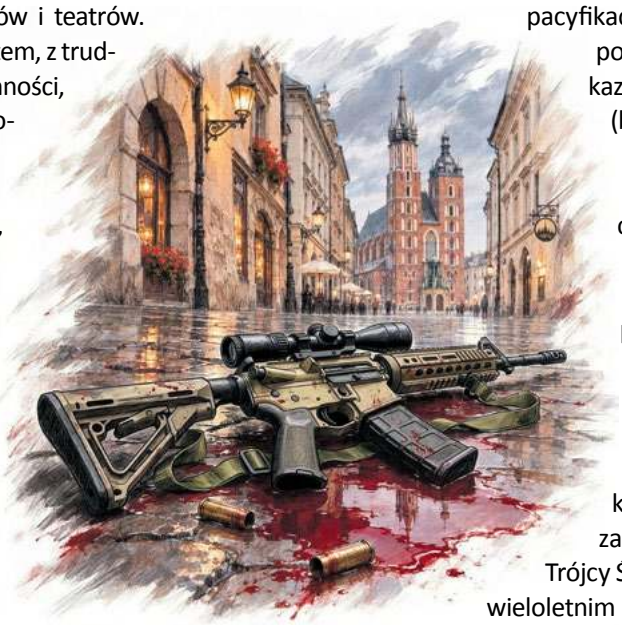
Oczywiście nie było policji ani służb mundurowych, a napastników na pewno było wielu. Jeszcze na dobre nie umilkły w Krakowie echa strzałów, a już prawicowe sępy zaczęły piec swą pieczeń wyborczą. Tymczasem na Rynku w Krakowie strzelał oszalały człowiek. Policja natychmiast zaczęła pościg i zabezpieczanie ludzi przebywających w pobliżu. Na miejscu od razu pojawili się lekarze. Kraków, jako miasto prawa, samorządności i wspólnoty, zdał egzamin. Oblał je człowiek, który zaczął zabijać niewinnych, przypadkowych spacerowiczów. Egzaminu z przyzwoitości nie zdały jak zawsze prawicowe media i fanatyczne szczekaczki.

Przeraża ta potrzeba brylowania, wypowiadania się w mediach i gadania tego, czego się nie wie, pakowania w mediach społecznościowych filmików i rolek pokazujących śmierć i zabitych ludzi. Prawica od razu zaczęła domniemywać a to zaniedbania, a to pochodzenie terrorysty. Niektórzy już z sadystycznym zacięciem zaczęli mamrotać, że teraz dopiero się zacznie. Zadziwia ten bezkres spiskowych teorii i natychmiastowe aktywowanie nieprawdopodobnych narracji, zupełnie jakby sama rzeczywistość niektórym ludziom nie wystarczała i dlatego muszą wykreować sobie demony.

Żywa pamięć

Na Rynku w Krakowie pewnie nigdy już nie będzie tak samo. To tutaj Walenty Badylak, emerytowany piekarz i były żołnierz Armii Krajowej 21 marca 1980 r. dokonał samospalenia protestując przede wszystkim przeciwko zakłamywaniu przez władze PRL prawdy o zbrodni katyńskiej. Jego protest dotyczył również demoralizacji młodzieży i niszczenia rzemiosła. Rynek Krakowski zniósł wiele wojen, rewolt, nieszczęść, cierpienia, a teraz znowu stał się areną śmierci, miejscem igrzysk człowieka, który nienawidził ludzi.

Kraków to miasto i nie-miasto zarazem. Owiane legendą, ciągle we mgle, niesie nostalgię Piwnicy Pod Baranami, w jasne dni przeciera się młodopolskimi barwami, pełne duchów przeszłości, poezji, malarstwa, nauki i posępnych cieni kościelnego świata. Miasto i nie-miasto zarazem, gdzie jego piękno i legenda stały się jednocześnie jego przekleństwem; gdzie świat patoturystyki wypiera magię miejsc. Jak każde miasto zachodniego świata pełne jest komercji i turystycznych atrakcji. Ale to również miasto nauki, uniwersytetów, muzeów i teatrów.
Kraków jest też realnym miastem, z trudnościami i kłopotami. codzienności, z polityczną awanturą, ekonomicznymi i społecznymi problemami. Nie-miasto i miasto z przestrzelonym sercem, otwartą raną, strachem o jutro, niepewnością tego, jaki świat do nas przyjeżdża i jak nas zmienia.



Nowy rozdział

Strzały jeszcze nie umilkły, a już pojawili się dzielni ludzie. Prof. Michał Pędziwiatr i dr Mateusz Wierdak akurat wyszli z restauracji. Gdy zorientowali się, co się dzieje, zamiast uciekać, pobiegli ratować rannych ludzi. Dr Wierdak tamował krwawienie najciężej rannego policjanta, a prof. Pędziwiatr pomagał pozostałym poszkodowanym i kontaktował się ze szpitalami. Strzelającego do przypadkowych, niewinnych ludzi przestępcę bezpośrednio obezwładnił, mimo odniesionych ran, starszy posterunkowy Jakub Kulik. Pomagał mu przy zatrzymaniu starszy posterunkowy Artur Morański, który także został postrzelony. Zarówno policjanci, jak i lekarze ryzykowali życiem, by pomóc innym. Działali, chociaż ich życie było zagrożone.

W sobotę na Rynku w Krakowie zatrzymał się czas, ale już w niedzielę wróciła codzienność. Gołębie, mgła, jesienny, zimowy wieczór i… krew na bruku. Kraków to miejsce szczególne, gdzie historia nabiera realnego kształtu i znaczy więcej niż tylko daty i opowieści z książek do historii. Niektóre miejsca nasiąkają doświadczeniami ludzi, tworzą swoistą sieć znaczeń, same stają się symbolami. Turyści tak naprawdę nie wiedzą, gdzie stawiają kroki, gdy przechodzą z knajpki do knajpki, mijając studnię Badylaka czy bramę kamienicy przy Szewskiej 7, gdzie zakatowano Stanisława Pyjasa. Podziwiający Kościół Mariacki mogą nie wiedzieć, że stoją na miejscu pacyfikacji manifestacji 3 maja 1946 r., podczas której ówczesne władze kazały strzelać do manifestantów (byli ranni i zabici, do dzisiaj nie wiemy, ile ofiar pochłonęło tamto wydarzenie). Siedzący podczas jarmarku na Małym Rynku w Krakowie i degustujący miody pitne, krakowskie przysmaki, zagryzający kiełbaskami z grilla mogą nie mieć świadomości, że bawią się w najlepsze na miejscu spalenia Katarzyny Weiglowej. Ta krakowska mieszczka, skazana za „herezję”, odrzucała dogmat Trójcy Świętej i boskość Chrystusa. Po wieloletnim uwięzieniu została publicznie spalona na stosie 19 kwietnia 1539 r.

Na Rynku w Krakowie zginęli ludzie, których „winą” było tylko to, że tam byli. Okaleczony świat Rynku wraca do siebie. Tłumy turystów będą dalej płynąć, zachwycając się architekturą, z uśmiechami na twarzach, dając wyraz szczęściu, że tam są. Miasto zaś odnotuje w swej nieskończonej pamięci kolejną ranę. Bolesną, bo śmiertelną.

prof. Joanna Hańderek
radna Miasta Krakowa

Różowy ksiądz

Sędzia sądu biskupiego diecezji rzeszowskiej – między wydawaniem wyroków – wysyłał parafiance zdjęcia swojego członka.

Mimo dziewięciu gigabajtów nagich zdjęć i erotycznej korespondencji przedstawionej w kurii, biskup miał uznać, że to „słowo przeciwko słowu”.

„Kotku, siadam do wyroków, ale chciałem jeszcze napisać, że gdyby to było wiele lat temu (…) miałabyś założony pierścionek w złotym kolorze, tak abym je czuł, gdybyś je zaciskała na moim członku, gdyby była możliwość choć na chwilę, w ciemniejszym zaułku…”, „A wiesz, że gdybyśmy razem pracowali przy czymś fizycznym, to Ty w tylnej kieszonce miałabyś drugie stringi, takie raczej bawełniane. Gdyby mi trzeba było czoło z potu otrzeć, to chciałbym taką chusteczkę”, „A Ty, o ile chciałabyś dłuższego i grubszego penisa u mężczyzny? Chciałem wiedzieć, ile mi brakuje do normalnych rozmiarów, tak aby usatysfakcjonować kobietę, dać jej dobry orgazm” – tak według relacji „Gazety Wyborczej”, miały wyglądać wiadomości sędziego sądu biskupiego ks. Andrzeja do Alicji (imię zmienione).



Alicję poznał w 2020 r. Cztery lata później miał namówić ją do spowiedzi w ustronnej kaplicy. Według kobiety, to co mu wtedy powiedziała o samotności i lękach, wykorzystał, by manipulować nią w celach seksualnych. Wysyłał kilkanaście wiadomości dziennie, nawet w nocy. Rozpisywał się o fantazjach i słał zdjęcia z „różowych przedpołudni” w bieliźnie przed lustrem z wielkim krzyżem na torsie. Pisał z konfesjonału i z przesłuchań świadków w sprawach o unieważnienie małżeństwa, a pomiędzy wiadomościami przypominał, że pierwszy piątek to dobry dzień na spowiedź. Skracał dystans, jednocześnie go zatrzymując. Od lipca 2025 r. spotykali się w jej domu na wspólnych obiadach.

Do pełnego stosunku miało nigdy nie dojść, bo ksiądz uważał, że seks z wytryskiem to grzech, z którego musiałby się spowiadać. Gdy Alicja przyznała, że się zakochała, usłyszała, że ma się opamiętać. W końcu zerwała kontakt i załamała się. Po pewnym czasie zgłosiła sprawę w kurii diecezji rzeszowskiej. Pokazała tam dziesiątki nagich zdjęć księdza i korespondencję, w której opisywał swoje fantazje seksualne. W kurii najpierw delegat miał wypytywać, czy na pewno nie było pełnego stosunku, a kanclerz – jak pomóc ks. Andrzejowi. Z kolei biskup Jan Wątroba miał mówić o „słowie przeciwko słowu”. Po wizycie u prymasa, na prośbę Fundacji Świętego Józefa, diecezja rzeszowska sfinansowała Alicji terapię – do końca tego roku.

Ostatecznie ksiądz został uznany za winnego „przestępstwa przeciwko szóstemu przykazaniu”. Dostał pięcioletni zakaz sprawowania funkcji sędziego. Musiał też zapłacić „pewną kwotę” na hospicjum i odbyć tygodniowe rekolekcje. Nie wiadomo jednak czy o sprawie księdza zawiadomiona została watykańska Dykasteria ds. Duchowieństwa. Ani czy diecezja zamierza w przyszłym roku finansować terapię Alicji. Kuria nie chce odpowiadać na pytania dziennikarzy. Tłumaczy się poufnością procedur prawnych.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

eprasa.pl ec2fe7df1d

Pytania dotyczące Biblii (265)



Kwestia życia pozagrobowego(1)

„Panie Bolesławie, niedawno zmarł mój kolega. Byłem przy nim i na dwie minuty przed śmiercią powiedział mi, że widział brata i ojca, którzy zmarli dawno temu. Czy to świadczy, że istnieje życie po życiu, jak mówią również ci, którzy wrócili ze stanu śmierci i opowiadają o swoich przeżyciach? Czy z chwilą śmierci nasi bliscy rzeczywiście odchodzą do nieba, czyśćca lub piekła, jak uczy Kościół katolicki? I jeszcze jedno: czy umarli przychodzą do nas?”.

Pytania tego typu zadają sobie ludzie od prawieków. Nic więc dziwnego, że wciąż podejmowane są różnego rodzaju próby odpowiedzi na nie. Taką próbę podjął przed laty również dr psychiatrii Raymond A. Moody, który zadał sobie wiele trudu, aby udowodnić, że istnieje tzw. życie po życiu.

Życie po życiu

Temu zagadnieniu poświęcona została jego książka „Życie po życiu”, która na sporej części czytelników wywarła ogromne wrażenie. Zwłaszcza że zawiera relacje i świadectwa osób, które są przekonane, że naprawdę umarły, a następnie zostały przywrócone do życia, chociaż z naukowego punktu widzenia ich wiarygodność jest co najmniej wątpliwa. Dlaczego? Ponieważ – jak twierdzi prof. Tadeusz Kielanowski – przeżycia, które opisuje m.in. Raymond Moody, mogą wystąpić jedynie w stanie tzw. śmierci klinicznej – nigdy w stanie śmierci biologicznej. Oto co pisze na ten temat: „Autor książki („Życie po życiu” – przyp. aut.) przytacza opowiadania ludzi reanimowanych i sądzi, że opisują wrażenia odniesione podczas śmierci, bo byli wszak klinicznie martwi. Gdyby jednak byli martwi naprawdę, trzeba by dokonaną reanimację nazwać wskrzeszeniem, a jak wiadomo, czynić tego nie umiemy; umiemy tylko pobudzać gasnące funkcje życiowe, póki życie trwa! Opowiadania reanimowanych dotyczą przeżyć ludzi żywych i można je porównywać ze snem. (…) Ich wspomnienia pochodzą więc z naszego materialnego świata, a nie z zaświatów, jak to niesumienni komentatorzy Raymonda Moody pragną ludziom wmawiać” („Rozmyślania o przemijaniu”, Warszawa 1980, wyd. trzecie, s. 41-42).

Dalej pisze: „Zaburzenia świadomości niektórych umierających objawiają się czasem zwracaniem się w półśnie do osób bliskich, ale od dawna zmarłych, do rodziców, rodzeństwa. Robi to zwykle silne wrażenie na otoczeniu i umacnia ludzi naiwnych i naiwnie wierzących w przekonaniu o istnieniu tak zwanego życia pozagrobowego. W rzeczywistości nie ma to nic wspólnego z żadnym życiem pozagrobowym, ale świadczy o niedokrwieniu, a potem zamieraniu tych części mózgu, które przechowują pamięć zdarzeń bliższych w czasie tak, że wspomnienia dawniejsze wychodzą jakby na wierzch (…). Dotkliwym cierpieniem umierającego bywa strach, nie tyle przed śmiercią, ale przed piekłem, czyśćcem i innymi wyobrażeniami, wpojonymi we wczesnym dzieciństwie albo wpajanym przez duchownych przez całe życie” (tamże, s. 49).



Biblia jednoznacznie stwierdza, że „umarli nic nie wiedzą”, bo „…w krainie umarłych (…), nie ma ani działania, ani zamysłów, ani poznania, ani mądrości” (Koh 9,5.10). Niemożliwy jest zatem jakikolwiek kontakt ze zmarłymi...

Warto też zauważyć, że pewne przeżycia (wizje) występują również podczas stosowania środków halucynogennych albo podczas upojenia alkoholowego. Na przykład w wypadku *delirium tremens* alkoholicy „widzą” potworne stworzenia, bestie, duchy, zjawy; istoty, których w danym miejscu nikt inny nie widzi, bo ich tam w ogóle nie ma. Podobnie działają narkotyki lub niektóre silne lekarstwa, które u pacjenta, szczególnie gdy znajduje się w stanie krytycznym, mogą powodować wrażenie wyjścia poza ciało i przekonanie, że istnieje życie po śmierci.

A zatem niezależnie od tego, czy jesteśmy pod wpływem środków halucynogennych, alkoholu, lekarstw, czy też w stanie niedokrwienia, mózg (tym bardziej zamierający) może wytwarzać obrazy, które zwykle dalekie są od rzeczywistości.

Kontakt z umarłymi

Ale czy nie jest tak, że umarli przychodzą do nas? Cóż, chociaż niektórzy w to wierzą, to jednak Biblia jednoznacznie stwierdza, że „umarli nic nie wiedzą”, bo „…w krainie umarłych (…), nie ma ani działania, ani zamysłów, ani poznania, ani mądrości” (Koh 9,5.10). Niemożliwy jest zatem jakikolwiek kontakt ze zmarłymi, ponieważ, „jak obłok się rozchodzi i znika, tak nie wraca ten, kto zstąpił do krainy umarłych. Nigdy już nie wróci do swego domu, a miejsce jego zamieszkania nie wie już nic o nim” (Hi 7,9-10). „Jego dzieci zdobywają szacunek – lecz on o tym nie wie; gdy żyją w poniżeniu, on na to nie zważa” (Hi 14,21).

Innymi słowy: człowiek jest istotą śmiertelną, nie żyje w postaci bezcielesnej – jako dusza lub duch. Jest to niemożliwe, ponieważ nie posiada duszy nieśmiertelnej. Katolicki ksiądz Stanisław Grzybek pisze o tym tak: „Kiedy autor natchniony napisze w Rdz 2,7, że Bóg ulepił człowieka z prochu ziemi i tchnął w jego nozdrza tchnienie życia, wskutek czego stał się człowiek istotą żywą, to nie oznacza, że człowiek ma duszę i ciało, ale że dzięki stwórczej mocy Boga ma w sobie pierwiastek życia, dzięki czemu jest osobą żywą” (Praca zbiorowa pod redakcją ks. Stanisława Grzybka „Vademecum biblijne” cz. IV, Kraków 1991, s. 156).

Warto dodać, że chociaż słowo „dusza” (hebr. *nefesz*, gr. *psyche*) najczęściej oznacza osobę (Rdz 12,5; 46,18.26; Wj 1,5; Joz 10,28; Dz 2,41), to jednak, w zależności od biblijnego kontekstu, może odnosić się również do krwi (Rdz 9,4; Kpł 17,14), życia (Mt 10,28; 16,26; Łk 12,20), ludzkiej psychiki i życia duchowego (Ps 25,1; 33,20; 34,3; 42,2; 62,2; 63,2; 86,4; 107,9; 130,5; Mt 11,29; 22,37; Dz 4,32). Ilekroć więc w Biblii występuje słowo „dusza” lub „duch” – w odniesieniu do człowieka – nigdy słowa te nie oznaczają postaci bezcielesnej i nieśmiertelnej. Napisano przecież: „Dusza, która grzeszy, ta umrze” (Ez 18,20 BG).

Podobnie jest z ludzkim duchem (hebr. *ruach*, gr. *pneuma*) o którym czytamy: „Gdy opuszcza go duch, wraca do prochu swego” (Ps 146,4); „Gdy zabierasz im tchnienie, giną i w proch się obracają” (Ps 104,29); „Wróci się proch do ziemi, tak jak nim był, duch zaś wróci do Boga, który go dał” (Koh 12,7).

Biblia zamiennie używa więc takich pojęć jak „duch”, „dech”, „tchnienie”. Użyte w związku ze śmiercią człowieka oznaczają jedynie tyle, że pierwiastek życia, czyli owo „tchnienie” życia, z chwilą śmierci człowieka wraca do Boga. Gdyby dotyczyły one istoty bezcielesnej, musielibyśmy się również zgodzić z tym, że z chwilą śmierci wszyscy ludzie – „dobrzy” i „źli” – są już z Bogiem, bo jak proch wszystkich ludzi wraca do ziemi, tak duch wszystkich wraca do Boga.

O tym, że duch/dusza nie może funkcjonować bez ciała, prof. Kielanowski pisze tak: „Nieśmiertelność ducha ludzkiego, czyli dalsze jego trwanie po śmierci ciała, oznaczałaby, dalsze trwanie świadomości człowieka, z poczuciem świadomości swojego ja, czyli rozpoznawaniem samego siebie (…). Rozumowanie to jest absurdalne, bo wiadomo, że odczuwanie wrażeń wymaga istnienia narządów zmysłów (oczu, uszu, skóry i in.), a pamięć odniesionych wrażeń jest związana z istnieniem nie uszkodzonych komórek mózgu…” (tamże, s. 114, 115).

Tak więc, chociaż z biblijnego punktu widzenia nie można wykluczyć, że Bóg przemawia do ludzi znajdujących się w stanie agonalnym (por. Hi 33,14), że czyni to „we śnie, w nocnym widzeniu (…), aby odwieść człowieka od złego czynu (…) i zachować jego duszę od grobu” (Hi 33,15-16), to jednak Biblia nigdzie nie mówi, aby taki kontakt z żywymi mieli umarli. Śmierć to bowiem definitywny koniec zarówno fizycznego, jak i psychicznego życia człowieka. Cdn.

Bolesław Parma

eprasa.pl ec2fe7df1d

A mury rosną, rosną, rosną...*

Nowy dom Zjednoczonego Królestwa

W Zjednoczonym Królestwie już dziesięcioletnie dziecko może trafić za kraty, a trzynastolatka poddać się aborcji bez wiedzy rodziców. Szesnastolatek może wstąpić do wojska, ale nie może kupić losu na loterię.

Laburzystowski rząd postanowił jeszcze dokładniej ustalić, kiedy młody człowiek jest już dorosły, a kiedy nadal trzeba go prowadzić za rękę.

Naszym przyszłym, lepszym dniom**

Lewicowy rząd zamierza obniżyć wiek wyborczy z osiemnastu do szesnastu lat. Jeśli ustawa wejdzie w życie, do urn może ruszyć około 1,7 miliona nowych wyborców. Zdaniem laburzystów, młodzi powinni współdecydować o sprawach, których skutki odczują w dorosłym życiu. W Szkocji i Walii szesnastolatkowie już głosują w wyborach regionalnych i samorządowych. Tyle że wybór lokalnych władz to jednak nie to samo co wybór rządu dla całego kraju.

Szesnastolatek może wyrazić zgodę na współżycie seksualne i podjąć pracę. Z papierosami będzie ciekawiej. Zakaz sprzedaży tytoniu osobom urodzonym od 1 stycznia 2009 r. oznacza, że dzisiejszy szesnastolatek nie kupi ich legalnie nawet jako pięćdziesięciolatek. Do wybierania władz dojrzeje wcześniej. Do kupienia paczki papierosów nigdy. W hierarchii odpowiedzialności kartka wyborcza jest mniej niebezpieczna od paczki tytoniu.

W Zjednoczonym Królestwie mieszka około 12,6 mln osób poniżej szesnastki i ok. 14 mln poniżej osiemnastki. Brytyjska młodzież nie czeka jednak na pełnoletność, by poznawać uroki dorosłego życia. Alkohol, nikotyna, narkotyki czy seks nie są dla znacznej części nastolatków wyłącznie pojęciami z podręczników. Jak widać, młodość nie zawsze pyta parlament o pozwolenie. Ale między pierwszym piwem a pierwszym głosem wyborczym jest pewna różnica. Zwłaszcza że skutków tego drugiego nie da się przeczekać do następnego poranka.

Statystyki przestępczości młodzieży wyglądają optymistycznie: liczba dzieci po raz pierwszy trafiających w ręce wymiaru sprawiedliwości spadła do ok. 8 100. Tyle że szkolne korytarze nie podzielają tego optymizmu. Przemoc rówieśnicza w ostatnich latach wzrosła. Młodzież rzadziej trafia przed sąd, ale niekoniecznie rzadziej daje popalić swoim rówieśnikom.

Parlamentarna Komisja Edukacji sprawdza właśnie, czy szkoły przygotowują młodzież do wyborów. Posłowie zastanawiają się, jak uczyć o kontrowersyjnych kwestiach politycznych, zwalczać dezinformację i zachować akademicką bezstronność. Zadanie niełatwe, bo młodzi wiedzę o świecie czerpią nie tylko z podręczników. Coraz większą rolę odgrywają media społecznościowe, tymczasem dostęp do tych platform rząd zamierza ograniczyć.

Niech się mury pną do góry

W trosce o bezpieczeństwo młodego pokolenia laburzyści zamierzają otoczyć nastolatków cyfrowym murem. Rzecz w tym, że mury nie tylko chronią przed zagrożeniami, ale również zasłaniają widok na drugą stronę. Od wiosny 2027 r. osoby poniżej szesnastki mają zostać pozbawione dostępu do części mediów społecznościowych, między innymi Facebooka, Instagrama, TikToka i platformy X. Egzekwowanie ograniczeń spadnie na właścicieli platform, którzy będą musieli skuteczniej weryfikować wiek użytkowników.

Ograniczenia obejmą też szesnasto- i siedemnastolatków. Dla nich przewidziano domyślną „ciszę nocną” od północy do szóstej rano oraz wyłączenie automatycznego odtwarzania filmów i spersonalizowanych treści. Ustawienia będzie można zmienić, ale ustawodawca najwyraźniej uznał, że na wszelki wypadek lepiej położyć przyszłego wyborcę spać. Rząd tłumaczy swoje plany ochroną przed cyberprzemocą, uzależnieniem i szkodliwymi treściami.

Według danych z 2026 r., niemal trzy czwarte nastolatków zetknęło się w internecie ze szkodliwymi treściami. Jednocześnie 81 proc. młodych użytkowników deklaruje, że czuje się w mediach społecznościowych bezpiecznie, a 71 proc. jest zadowolonych z korzystania z nich. Wygląda więc na to, że młodzież dostrzega zagrożenia, ale niekoniecznie oczekuje, że rząd będzie ją ratował kolejnymi zakazami.

Nie wszyscy są przekonani, że rząd wybrał właściwe lekarstwo. Petycję przeciwko ograniczeniom podpisały 217 682 osoby. Jej autorzy przypominają, że internet pomaga młodym utrzymywać kontakty, nawiązywać przyjaźnie i szukać wsparcia. Na początku listopada odbędzie się debata parlamentarna poświęcona petycji. Posłowie porozmawiają, przedstawiciel rządu odpowie, ale głosowania nad zakazem nie będzie. Obywatele mogą więc wyrazić opinię, a politycy zdecydują, co z nią zrobić. Jak zwykle.



Interesujący jest również wybór aplikacji. Zakaz ma nie dotyczyć komunikatorów, takich jak WhatsApp czy Signal. Trudno pojąć, dlaczego szkodliwa treść oglądana na Facebooku miałaby być groźniejsza od tej samej przesłanej przez komunikator. Część nastolatków zapewne przeniesie się na inne platformy, choćby Telegram. A kiedy okaże się, że tam też czyhają zagrożenia, przyjdzie pora na kolejne ograniczenia. W końcu do muru zawsze można dołożyć kilka cegieł.

Skoro szesnastolatkowie mają decydować o przyszłości kraju, to kiedy powinni poznawać poglądy polityczne i dyskutować o nich? Rząd najwyraźniej liczy, że w dniu szesnastych urodzin nastolatek dozna politycznego olśnienia. Błyskawicznie nadrobi zaległości, pozna różne opinie, wyrobi sobie zdanie. Dzień wcześniej, jako piętnastolatek, lepiej, żeby tego nie robił. Potem wystarczy zdmuchnąć świeczki na torcie i ruszać do urny.

Wczoraj za młody na TikToka, dziś wystarczająco dorosły, żeby wybierać parlament.

Budujemy nowy dom

Oficjalnie chodzi o poszerzenie demokracji. Krytycy laburzystów podejrzewają jednak bardziej przyziemną kalkulację. Młodzi wyborcy częściej sympatyzują z lewicą, więc dopisanie do rejestrów 1,7 mln osób może zmienić układ sił.

W lipcu 2025 r. ITV News opublikowała sondaż wśród szesnasto- i siedemnastolatków. Na Partię Pracy chciało głosować 33 proc. badanych, na partię Reform UK – 20, na Zielonych – 18, a na konserwatystów zaledwie 10 procent. Pojawiają się też podejrzenia, że chodzi o głosy młodzieży z rodzin imigranckich, w tym muzułmańskich. Tyle że w wyborach 2024 r. czterej niezależni kandydaci muzułmańscy – Shockat Adam, Adnan Hussain, Ayoub Khan i Iqbal Mohamed – pokonali kandydatów Labour. Ważną rolę odegrał sprzeciw wobec polityki partii w sprawie Gazy.

Krytycy pomysłu zadają pytanie: a jeśli stawką nie są mandaty dla laburzystów, lecz długofalowe ograniczenie możliwości powrotu prawicy do władzy? W takim scenariuszu nawet miejsca oddane Zielonym czy niezależnym kandydatom muzułmańskim nie musiałyby oznaczać porażki. Byle w najważniejszych głosowaniach łatwiej było się z nimi dogadać niż z konserwatystami czy przedstawicielami partii Reform UK. Nie trzeba przecież wygrywać każdej bitwy, żeby na długie lata ustawić sobie pole walki.

To dość ryzykowna kalkulacja. Brytyjski system jednomandatowy potrafi płatać figle, a rozdrobnienie głosów może przynieść odwrotny skutek. Poza tym młody wyborca teoretycznie nie dostaje instrukcji, na kogo głosować. Ale instrukcja nie musi być potrzebna. Wystarczy ograniczyć dostęp do informacji, by łatwiej pokazywać świat z jednej strony cyfrowego muru. Być może laburzyści chcą jedynie poszerzyć demokrację. A być może przy okazji urządzić scenę polityczną tak, by prawica przez lata nie mogła przejąć władzy. Jedno drugiego nie wyklucza.

Tak właśnie buduje się nowy dom. Laburzyści wręczą młodzieży klucze do lokalu wyborczego, a w oknach na świat zamontują cyfrowe kraty. Mogą się jednak zdziwić, gdy nowi lokatorzy, zamiast podziękować za przydział, wymienią zamki w drzwiach.

Daniel Młynarski, Londyn

* cytat z piosenki „Mury” Jacka Kaczmarskiego

** wszystkie śródtytuły są cytatami z piosenki „Budujemy nowy dom” (1949), słowa Wacław Stępień, muzyka Zdzisław Gozdawa

eprasa.pl ec2fe7df1d

Sielsko, anie

Miastowi kochają wieś, bo przecież tam jest jak u Pana Boga za piecem.

Wsi spokojna, wsi wesoła? Owszem. Pod warunkiem, że nikt nikomu nie nadepnie na odcisk. Ale wystarczy sąsiadowi odebrać zlecenie, wejść w drogę urzędnikowi albo ojcu przypomnieć krzywdy sprzed lat, żeby zrobiło się gorąco. Bo, jak wiadomo, chłop żywemu nie przepuści. Nieżywemu również.

Na wsi ludzie wiedzą o sobie wszystko. Kto z kim śpi, kto komu jest winien pieniądze, kto kupił nowy traktor, kto dostał dopłatę, a nawet kto stracił zlecenie na koszenie kukurydzy. Wiedzą też, czyja jest miedza, choć geodeta potrafi mieć w tej sprawie zupełnie inne zdanie. A kiedy sąsiad kupi lepszy kombajn, zamiast gratulacji może dostać coś, co rolnicy nazywają złotą kolbą. I nie jest to bynajmniej nagroda za rekordowe plony.

Wiejska solidarność oczywiście istnieje. Gdy komuś spłonie stodoła, sąsiedzi potrafią zrzucić się na odbudowę. Ale ta sama wieś potrafi przez trzy pokolenia nie rozmawiać z rodziną zza płotu, bo ich („cudzy") dziadek przesunął kamień graniczny o pół metra. Pieniądze, własność i rodzinne urazy mieszają się tu w proporcjach niebezpiecznych dla zdrowia, życia i maszyn rolniczych. Konflikty nie trafiają do sądów. Rozstrzyga je pług, drut, a czasem pięści.

Zaorana niesprawiedliwość

W Gliwicach przy ulicy Rybackiej w sierpniu drogowcy zajmowali się czymś, co powinno cieszyć mieszkańców. Kładli asfalt. Świeży, równy, mający sprawić, że drogą będzie się jeździło wygodniej. Dla jednego z okolicznych gospodarzy nowa nawierzchnia nie oznaczała jednak postępu cywilizacyjnego, lecz zamach na jego własność. 60-letni rolnik nie przyniósł petycji ani map geodezyjnych. Przyjechał ciągnikiem z podczepionym pługiem i jął asfalt orać. Zniszczył 200 metrów nawierzchni. Drogowi budowlańcy ustawili na trasie walec i ładowarkę, czym skutecznie zablokowali mu dalszy przejazd. Przyjechała policja i gospodarza zatrzymała. Ten wytłumaczył mundurowym, że droga powstała na jego gruncie, a prowadzone roboty są nielegalne. Nie niszczył więc cudzego mienia, lecz występował przeciwko bezprawnemu zajęciu ojcowizny.



Władze Gliwic miały na ten temat odmienne zdanie. Według Zarządu Dróg Miejskich, sporne działki należą do gminy od ćwierć wieku. Ba, urzędnicy twierdzili, że podział nieruchomości na gminną i niegminną nastąpił na wniosek ówczesnego właściciela, którym miał być właśnie obywatel orzący asfalt. Z samego przejęcia ziemi przez gminę nie wynika jednak, że wszystko załatwiono jak należy. Pozostaje kwestia odszkodowania, bo właściciel przejętego gruntu ma prawo do rekompensaty. Gmina długo kluczyła w kwestii tak zasadniczej, jak to, czy rolnik otrzymał pieniądze, czy może należność została złożona do depozytu sądowego. A na dodatek miasto przyznało, że należący do gminy pas był szerszy niż teren faktycznie zajęty przez drogę. Stąd część działki mogła przez lata wyglądać jak zwyczajne pole, więc dla gospodarza przyzwyczajonego do obrabiania tegoż kawałka ziemi, pojawienie się tam asfaltu mogło być zaskakujące.

Polskie prawo nie uznaje jednak pługa za instrument rozstrzygania sporów własnościowych. Rolnik usłyszał zarzut zniszczenia mienia. Początkowo straty wyceniono na około 300 tys. zł, a facetowi groziło nawet 10 lat odsiadki. I dlatego dwa dni po zdarzeniu sąd zdecydował o zapuszkowaniu rolnika na trzy miesiące. Decyzja zainteresowała pełnomocnika terenowego Rzecznika Praw Obywatelskich, który zwrócił się do sądu o informacje dotyczące podstaw aresztowania. Co samo w sobie nic nie dało, ale... pojawiła się dokładniejsza wycena szkody, tym razem na kwotę 184 tys. zł. Różnica wyniosła 116 tys., czyli niemal 39 proc. pierwotnego oszacowania. Na takie *dictum* prokurator uchylił areszt i rolnik wrócił do siebie.

Nie wiadomo, czy chłopu uda się wykazać zasadność swoich roszczeń. Wiadomo natomiast, że w Gliwicach konflikt o ziemię przybrał formę orki asfaltu. Takiej formy agrarnej, której nie przewiduje żadna instrukcja uprawy.

Złote kolby konkurencji

W okolicach Mińska Mazowieckiego pewien 41-latek miał problem z konkurencją. Właściciel gospodarstwa, dla którego wcześniej wykonywał usługi, postanowił powierzyć koszenie kukurydzy komuś innemu. Dla zleceniodawcy była to zwyczajna decyzja gospodarcza. Dla człowieka, który stracił sensowny zarobek, stała się przyczynkiem do nader dużej frustracji. Takiej, która – według policji – zakończyła się zniszczeniem kombajnu i stratami oszacowanymi na około 100 tys. zł.

W rolnictwie usługi czynione specjalistycznym sprzętem są poważnym biznesem. Kombajn to kosztowna maszyna, która musi na siebie zarabiać, a sezon zbiorów trwa krótko. Kto ma sprzęt, potrzebuje hektarów do obrobienia. Kto ma pole, szuka wykonawcy, który przyjedzie w odpowiednim terminie i nie zażąda wygórowanej opłaty. Zlecenia przechodzą więc z rąk do rąk. Normalny rynek, tyle że uczestnicy często znają się od lat, wiedzą, kto ile ma ziemi, jakim jeździ traktorem i czy jego żona kumpluje się z żoną konkurenta. 41-latek od lat zajmował się koszeniem pola sąsiada Skończyło się to jednak parę sezonów temu, gdy właściciel wynajął konkurencję. W tym roku roboty też nie dostał. Przygotował więc tak zwane złote kolby. Nazwa brzmi, jakby chodziło o rolniczą nagrodę za rekordowy plon, a oznacza kukurydzę, do której przymocowano metalowe elementy mogące uszkodzić maszynę podczas zbioru. Wściekły pan poprzytwierdzał je drutem do roślin. Podczas prac metalowe przedmioty dostały się do mechanizmów kombajnu. Doszło do poważnego uszkodzenia maszyny konkurenta.

Gliniarze błyskawicznie namierzyli winnego, a on się przyznał. Oczywiście policjanci wystąpili z wnioskiem o areszt. I tu się zdziwili nader, bo prokurator uznał, że wystarczy dozór policji. Pozostaje pytanie, co musi siedzieć w głowie człowieka, który po utracie klienta nie próbuje zaoferować lepszej ceny, lecz postanawia zniszczyć sprzęt konkurenta. Zwłaszcza że robót nie wykonywał już od kilku lat.

Wiejska zemsta nie zawsze jest gwałtowna. Czasami dojrzewa przez kolejne sezony, podczas których człowiek widzi cudzy kombajn pracujący na polu, które kiedyś obsługiwał. Widzi, jak ktoś inny zarabia. Aż wreszcie postanawia, że skoro sam nie ma z tego pieniędzy, to niech przynajmniej konkurent poniesie stratę. Bo wszak od stuleci nic tak nie cieszyło chłopa, jak to, że sąsiadowi zdechła krowa.

Woda na młyn

Michał Nowacki z województwa kujawsko-pomorskiego, znany internautom jako Rolnik NIEprofesjonalny, miał problem znacznie poważniejszy niż to czy sąsiad zarobi więcej. Jego pola cierpiały z powodu suszy. Od początku roku spadło w okolicy zaledwie 85 litrów wody na metr kwadratowy. Dla rolnika, którego dochód zależy od tego, czy rośliny mają co pić, taka informacja nie jest ciekawostką meteorologiczną. Nowacki postanowił ratować uprawy za pomocą deszczowni. Do jej przemieszczania wykorzystywał ciągnik New Holland. Maszyna zwykle wracała wieczorem do gospodarstwa, ale zdarzało się, że rolnik przestawiał urządzenie dopiero ok. północy albo i pierwszej w nocy. Wtedy traktor pozostawał przez pewien czas na polu, poza zasięgiem kamer i bez oświetlenia. Pewnego dnia ktoś postanowił, że wody będzie więcej. Tyle że nie na polu, lecz w zbiorniku paliwa ciągnika. Nowacki zorientował się, że coś jest nie tak, gdy próbował uruchomić maszynę. Silnik przeszedł na niskie obroty, pojawił się tryb awaryjny, i maszyna straciła moc. A jednak dzielnemu rolnikowi udało się zjechać z pola na podwórko. Tam rozpoczęło się sprawdzanie, co właściwie stało się New Hollandowi.

Odkręcił odstojnik paliwa i znalazł wodę. Następnie sprawdził filtry – tam również była woda. Po spuszczeniu paliwa ze zbiornika okazało się, ktoś się nieźle natrudził, niosąc nocą kanister przez pole, bo do zbiornika trafiło 20 litrów wody. Rolnik był przekonany, że



eprasa.pl ec2fe7df1d

lsko



złoczyńca celowo dolał ją do baku. Nie dysponował jednak dowodem pozwalającym ustalić sprawcę.

Nowacki nie krył rozgoryczenia. W wypowiedzi dla mediów stwierdził: „Nie robisz w tym kraju nic – źle”. A potem wyjaśniał, że również aktywność i pokazywanie swojej pracy może spotkać się z wrogością. Wreszcie zadał pytanie, które mogłoby posłużyć za motto wszystkich opisywanych historii: „Co siedzi w głowach ludzi?”.

Gospodarz uważał, że krąg potencjalnych podejrzanych jest niewielki, ponieważ trudno mu było uwierzyć, aby ktoś przyjechał z daleka tylko po to, żeby zaszkodzić jego ciągnikowi. To jednak przypuszczenie, nie ustalenie policji. Nie ma podstaw, by wskazywać konkretnego sąsiada ani przypisywać komukolwiek motywu zemsty. Zanieczyszczenie paliwa wodą nie jest niewinnym dowcipem. Nowacki miał jednak szczęście. Po spuszczeniu paliwa i oczyszczeniu odpowiednich elementów układu, udało się ponownie uruchomić ciągnik. Silnik zapalił za drugim razem i „pracował równo”.

Z punktu widzenia ewentualnego sprawcy oznaczało to niepowodzenie. Z punktu widzenia gospodarza była to jednak dodatkowa praca, stracony czas i niepewność, czy kosztownej maszyny nie trafi szlag. A wszystko w okresie, kiedy każda godzina potrzebna była do ratowania zasiewów.

Cukier krzepi

Historia Nowackiego nie jest jedyną sytuacją, w której rolnik znalazł w paliwie substancję niemającą prawa się tam znaleźć. Podobnie było w Zachodniopomorskiem. Tam zamiast wody pojawił się cukier.

Cukier ma wiele zastosowań. Można nim słodzić herbatę, z jego dodatkiem robić konfitury, piec ciasta i produkować słodycze. Nie ma natomiast żadnego uzasadnionego zastosowania jako dodatek do oleju napędowego w zbiorniku ciągnika. Właściciel maszyny zauważył zanieczyszczenie, zanim doszło do poważniejszych następstw. Według mediów pomogła niska temperatura, która utrudniała rozpuszczanie się cukru. Nie oznaczało to jednak, że można było po prostu wzruszyć ramionami i wrócić do pracy. Po uruchomieniu ciągnika oraz przejeździe do miejsca tankowania część zanieczyszczeń dostała się do filtrów. Konieczne było ich oczyszczenie oraz sprawdzenie pozostałych elementów układu paliwowego.

Rolnik podejrzewał o sabotaż osobę ze swojego otoczenia. Sprawcy jednak nie ustalono. Co ciekawe, gospodarstwo było monitorowane, ale kamery nie zarejestrowały momentu wsypywania sacharozy do baku. Nie wiadomo, czy chodziło o osobistą zemstę, konflikt sąsiedzki, zazdrość czy zupełnie inną przyczynę. Przypadki wody i cukru mają wspólną cechę. W obu ktoś mógł zaszkodzić rolnikowi bez bezpośredniej konfrontacji. Nie trzeba było stawać przed gospodarzem, grozić mu ani wdawać się w bójkę. Wystarczyło, że dobrało się do maszyny, która pozostawała przez pewien czas bez nadzoru.

To szczególnie niefajna forma złośliwości, ponieważ awaria w czasie intensywnych robót polowych może oznaczać konieczność wynajęcia zastępczego sprzętu, przesunięcie terminów i straty w uprawach. A jeśli sprawca pozostaje nieznany, gospodarz zaczyna podejrzliwie patrzeć na ludzi, których dotychczas spotykał przy sklepie, na drodze albo podczas prac polowych. I dlatego kilogram cukru czy kanister wody może zepsuć znacznie więcej niż paliwo.

Rachunek za dzieciństwo

W jednej z miejscowości w gminie Olsztynek doszło do tragedii, przy której zaorany asfalt i zniszczony kombajn wydają się jedynie drobnymi przejawami ludzkiej złośliwości. Bo tu 28-letni Michał B. zabił własnego ojca. Nie podczas przypadkowego spotkania. I nie wskutek konfliktu o drogę czy zlecenie, lecz w domu, w którym przez lata miała rozgrywać się historia rodzinnej przemocy.

Bo Michał B. w dzieciństwie doświadczał ze strony ojca zarówno fizycznego łomotu, jak i nieustannego psychicznego poniżania. Konflikt narastał latami, a doświadczenia z dzieciństwa wyryły trwały ślad w psychice mężczyzny. W dorosłym życiu relacje między nimi nadal były złe. Sytuacji nie poprawiał też fakt, że od pewnego czasu mieszkali razem. Michał B. nadużywał alkoholu, a jak był napity, to wszczynał kłótnie z ojcem. Miał też się odgrażać, że kiedyś zabije go za złe traktowanie w dzieciństwie. Słowo ciałem się stało, bo któregoś wieczoru Michał wrócił do domu będąc na bani. Na początek zaatakował ojca pięściami (kilkanaście ciosów w głowę). Następnie uderzał głową tatusia o meble i podłogę. No i dusił go za szyję. Policja wspominała też o kopaniu. Obrażenia były na tyle rozległe, że tatuś zmarł na miejscu.

Z opowieści zabójcy wyszło, że ojciec tego wieczoru nie sprowokował syna do przemocy. Nie podjął również aktywnej obrony. Nie była to zatem bójka, podczas której dwaj mężczyźni wzajem prali się po gębach. Sąd uznał Michała B. za winnego zabójstwa i skazał go na 12 lat. W drugiej instancji wyrok się utrzymał. Tak zakończyła się historia, w której przemoc mogła przechodzić z pokolenia na pokolenie. Ojciec, który przez lata krzywdził syna, został przez niego zabity. Syn, który miał być ofiarą przemocy w dzieciństwie, sam stał się zabójcą. W tej historii zemsta okazała się najdroższa ze wszystkiego. Nie kosztowała 100 czy 184 tys. zł. Kosztowała ludzkie życie i 12 lat wolności sprawcy.

Swojskie porachunki

Polska wieś ma w literaturze piękną tradycję. Jest miejscem, gdzie człowiek żyje blisko natury, zna rytm pór roku, cieszy się plonami i odpoczywa od wielkomiejskiego zgiełku. O wiele częściej bywa jednak miejscem, w którym odległość między sąsiadami mierzy się nie tylko metrami, lecz także liczbą nierozstrzygniętych sporów. O ziemię, spadek, dojazd, granicę działki, pieniądze i rodzinne krzywdy. Nie oznacza to, że mieszkańcy wsi są bardziej skłonni do przemocy niż mieszkańcy miast, ale o to, jak osobisty wymiar mogą mieć konflikty w niewielkich społecznościach. Człowiek nie kłóci się z anonimową korporacją, tylko z urzędnikiem, którego zna, albo sąsiadem, którego widuje codziennie.

Pojęcie „wiejskich porachunków” kojarzone z krwawymi waśniami sąsiedzkimi, choć zakorzenione w kulturze i dawnym wizerunku prowincji, nie funkcjonuje jednak jako odrębna kategoria w oficjalnych statystykach kryminalnych. Tego typu zdarzenia są kwalifikowane jako przestępstwa przeciwko życiu i zdrowiu – bójki, pobicia, uszkodzenia ciała, zabójstwa lub przeciwko mieniu – podpalenia, niszczenie mienia. Analizy wskazują, że lokalne spory na wsi mają odmienne podłoże niż w miastach. Większa jest ich brutalność, szczególnie w afekcie. Przestępstwa z użyciem przemocy na wsi rzadko mają podłoże gangsterskie czy rabunkowe. Są najczęściej skutkiem długotrwałych konfliktów sąsiedzkich lub rodzinnych, eskalujących najczęściej nagle pod wpływem alkoholu. No i mamy spory o miedzę i majątek, bo klasyczne wiejskie porachunki najczęściej dotyczą sporów terytorialnych lub spadków. Przejawiają się w statystykach jako złośliwe niepokojenie, groźby karalne oraz niszczenie mienia, czyli celowe uszkadzanie upraw, podpalenia stogów czy niszczenie ogrodzeń.



Do tego wszystkiego dochodzi tzw. zjawisko „ciemnej liczby” przestępstw. Bo przebijającą się ponad wszystko cechą wiejskiej przestępczości jest niski poziom zgłaszalności. W małych społecznościach silnie działa kontrola społeczna oraz niechęć do angażowania policji w „wewnętrzne” sprawy wsi. Lokalne porachunki i akty wandalizmu są często rozwiązywane bez wiedzy służb, co sprawia, że oficjalne statystyki policyjne są wobec wiejskiej przestępczości bezsilne.

Nie w każdej z opowiedzianych tu historii udowodniono jako motyw zemstę. W każdej jednak pojawia się konflikt rzeczywisty lub podejrzewany, który wykracza poza zwyczajną różnicę zdań. Najbardziej niepokojące jest to, jak łatwo, właśnie na wsi, spór może przerodzić się w działanie przynoszące szkody nieproporcjonalne do jego przyczyny. Nie trzeba zatem jechać na prowincję wożąc tam miastowe wielkie namiętności. One już tam są. Czasem ukryte za płotem, czasem w dokumentach geodezyjnych, czasem w zbiorniku paliwa, a czasem w rodzinnej pamięci. Bo polska wieś bywa radosna i wesoła – ale szczególnie wtedy, gdy sąsiadowi coś się nie uda.

Stefan Płonicki

eprasa.pl ec2fe7df1d

Jak Sikorski z Ławrowem...

Były czasy, gdy Sikorskiego i Ławrowa łączyła dobra komitywa, mimo że byli to ludzie z odmiennych konstelacji życiowych i politycznych.

Ławrowa cechuje finezyjna i często zaprawiona sarkazmem dyplomacja, która jednak może się szybko przeistoczyć w szorstkość i zgoła brutalność, gdy szef rosyjskiego MSZ wyczuwa, że jego rozmówca mataczy, a już zwłaszcza odgraża się. Przykładem może być rozmowa telefoniczna Ławrowa z sekretarzem stanu Wielkiej Brytanii Davidem Milibandem z 2008 r., która wyprowadziła rosyjskiego ministra z równowagi i wylała się w słownictwie nawet w spelunach uchodzącym za nieprzyzwoite.

Sterylizacja zaufania

Na tego rodzaju hece Ławrow nigdy nie pozwolił sobie w stosunku do Sikorskiego. Relacje obu ministrów raczej układały się dość kordialnie. Pamiętam, jak Ławrow pytał w zaufaniu Sikorskiego podczas bytności w Warszawie w grudniu 2013 r., jak odebrano jego, dosyć kontrowersyjne skądinąd, wystąpienie, wygłoszone miesiąc wcześniej w Brukseli podczas śniadania ministrów uczestniczących w Radzie Spraw Zagranicznych UE. W wystąpieniu tym Ławrow miotał gromy na libertarianizm polityczny Zachodu, na którym rozkrzewia się libertyńska Sodoma i Gomora. Odpowiedź swą Sikorski sformułował półżartem, półserio, a dobra komitywa została zachowana.

Od 2014 r., po fatalnym, jak się okazało z perspektywy historycznej, rozstrzygnięciu sprawy kijowskiego Majdanu, a zwłaszcza kiedy kilka miesięcy później Sikorski przestał kierować MSZ, stosunki polsko-rosyjskie zaczęły się wykruszać. Gdy zaś do władzy doszło PiS, to przez kolejnych siedem lat demolowało je: a to ignorancją, a to arogancją w przeświadczeniu, że wymierza tym odwet za przegrane insurekcje antyrosyjskie i że tylko rozpierduchą patriotyczno-niepodległościową pogromi się Rosję. Zaś wybuch wojny rosyjsko-ukraińskiej wysterylizował relacje między Polską a Rosją do stanu takiej jałowości, że już mucha na niej nie siada.

W lutym 2022 r. Polska pod rządami PiS jednoznacznie opowiedziała się po stronie Ukrainy, szczodrze sypnęła pomocą na jej rzecz i ochoczo łykała ukraińską narrację o moskalskim krzywdzicielu Ukrainy i Polski, któremu „wespół w zespół" trzeba pokazać, gdzie raki zimują. W sztafecie potępiania Rosji pałeczkę od PiS przejęła w 2023 r. Koalicja Obywatelska. Wczuła się w rolę Katona, natrętnie przypominając – zwłaszcza ustami Radosława Sikorskiego – że „kartagińskie" zło Rosji *delendam esse* (łac. należy zniszczyć – przyp. red.).

Dyktatura „równiejszych"

Na pierwszy rzut oka rząd KO sprawiedliwie potępia agresora. Tyle że warto wniknąć głębiej w przyczyny rosyjskiej napaści. Owszem, mocarstwa nie mogą przytłaczać innych swymi przewagami i zasobami, wszak w międzynarodowej zoosferze zwierzęta formalnie są równe. Atoli bywają też i „równiejsze", o czym wiedział George Orwell. „Równiejsza" potęga, jaką stanowiły północne stany USA, wyegzekwowała siłą zbrojną, w wojnie domowej z lat 1861-1865, na stanach południowych, które poczuwały się do odrębności kulturowej względem Północy, podporządkowanie się Unii. Warto w tym kontekście przypomnieć, że nie tyle odrębny język, ile kultura i mentalność zakreślają linie odgraniczenia narodowego. A postrzegana z tej perspektywy odmienność ukraińska od Rosji wcale nie wygląda kontrastowo: i Rosjanie, i Ukraińcy pozostają społeczeństwami głęboko zsowietyzowanymi; i w Rosji, i zwłaszcza w Ukrainie panoszą się system „klanowo"-oligarchiczny i korupcja. A jeszcze ważniejsza wydaje się geneza obecnego konfliktu ukraińsko-rosyjskiego – rozniskrzyły go protesty w Kijowie przeciw antyeuropejskiemu zwrotowi prezydenta Janukowycza.

W lutym 2014 r., kiedy protesty te przybrały krwawy charakter, do Ukrainy udała się trójka „weimarskich" ministrów spraw zagranicznych: Fabius, Sikorski i Steinmeier, z ofertą polubownego rozwiązania. Operacja się udała, tyle że pacjent umarł. Ledwie wysechł atrament na kompromisie podpisanym przez Janukowycza i liderów majdanowej opozycji oraz kontrasygnowanym przez ministrów „weimarskich", Majdan żwawo przystąpił do przejmowania urzędów państwowych, a Janukowycz uciekł z Kijowa. Moskwa, która z niejaką życzliwością odnosiła się do rzeczonego kompromisu, uznała w efekcie, że trzej europejscy ministrowie wybrukowali majdanowcom drogę do przejęcia władzy – a przecież nie o to chodziło w treści podpisanego w Kijowie porozumienia. Gdy druga strona skrewi porozumienie, Moskwa, która „łzom nie wierzy", reaguje bezwzględnie i brutalnie. Toteż wkrótce Rosja anektowała Krym, a następnie wsparła antymajdanową ruchawkę w rosyjskojęzycznym Donbasie, który stanowił zaplecze społeczne Janukowycza.

Euroneobanderowcy

Konflikt na wschodzie Ukrainy, dość intensywny w latach 2014-2015, który następnie wytłumił się do kształtu wojny pozycyjnej, eksplodował w lutym 2022 r. wraz z najazdem Rosji na Ukrainę. Tyle że warto tu naświetlić całe tło. Nade wszystko przemiany w Rosji: osłabianie po 2014 r. więzi z Zachodem i wreszcie ostateczne zerwanie z nim, czemu towarzyszyło autokratycznienie reżymu kremlowskiego, oraz metamorfozy w Ukrainie, gdzie okazało się, że protest na Majdanie rozpoczęli euro-Ukraińcy, ale zwyciężyli w nim neobanderowcy. I odtąd to oni nadawali w coraz większym stopniu ton polityce ukraińskiej. Wojna w Ukrainie nie kontrastuje więc po manichejsku zła i dobra. Dwie brutalne moce, które się starły, mają także swoje cnoty i zalety.

Ukraina jest ofiarą agresji, jednak niemała część jej ludności: na Krymie i w Donbasie, odnosi się wrogo do państwa, które manifestuje ukraińską *samostijnost* z banderowskim podtekstem. Ciężar intelektualny ukraińskości bynajmniej nie przytłacza, przygniata zaś jej kurenny prowincjonalizm i siczowe awanturnictwo. Ukraina nie jest ani krajem wielkiej kultury, ani imponujących osiągnięć w sferze myśli i tworzenia. Przez Rosję też przez kilka stuleci dął duch barbarzyństwa mongolsko-bizantyńskiego, ale kraj ten na początku XVIII w. dźwignął się na petersburskie wyżyny europeizacji, a w XIX w. zajmował niekwestionowaną pozycję nie tylko w koncercie mocarstw, ale też na olimpie nauk i parnasie sztuk. Związek Sowiecki reaktywował staromoskiewską praktykę bestialstwa politycznego, której doświadczyli też Polacy, ale niepodobna zaprzeczyć, że wojnę z Trzecią Rzeszą wygrał i stał się drugim, po USA, supermocarstwem światowym.

Płacz kontra ambicje

Ministrami sterującymi polityką międzynarodową imperium kieruje ambitna wyobraźnia i globalny rozmach. Tego zaś kalibru myślenia i działania w resorcie spraw zagranicznych Ukrainy jest tyle, co w karczmie na trakcie czurłachowskim, gdzie – jak sprawozdawał Mikołaj Gogol w opowiadaniu „Wij" – „Ukraińcy, gdy tylko sobie podchmielą, zaczynają się całować albo płakać i wnet cała izba rozbrzmiewa busianiami". Im też oddaje się Radosław Sikorski fraternizując się z Andrijem Sybihą czy Wasyłem Bodnarem, których to jegomościów pamiętam dobrze z czasów, kiedy kierowałem Departamentem Wschodnim MSZ, oni zaś zjawiali się u mnie jako dyplomaci pionu politycznego w ambasadzie Ukrainy. I nie trzeba było być ornitologiem, żeby dostrzec, iż nie władają oni darem orlego-sokolego postrzegania istoty zagadnień wielkiej polityki i wnikania w nią.

Droga rozumu

Na przygotowującym szczyt G-20 spotkaniu ministrów spraw zagranicznych dwudziestki w Atlancie, na które gospodarz tego spotkania Marco Rubio zaprosił również szefa polskiej dyplomacji, uwidoczniło się, jak biegunowo wręcz skontrastowały się postawy Sikorskiego i Ławrowa. Znane są niedawne tromtadracje Sikorskiego, iż NATO posiada taki potencjał, żeby w kilka tygodni, w odpowiedzi na ewentualną rosyjską agresję, rzucić Rosję na kolana. Jest to jedna z bardziej głupawych politycznie wypowiedzi polskiego ministra. Grożenie Rosji należy do najmniej efektywnych narzędzi oddziaływania na nią, i swego czasu doświadczył tego wspomniany David Miliband. W Atlancie Sikorski brzdąkał na tej samej strunie, domagając się, żeby Rosja zachowywała się jak „dżentelmen na forach międzynarodowych" i przypomniał, jak Rosję wyrzucono z G-8 po aneksji Krymu. Ławrow w Atlancie nie pozostał dłużny: „Decyzja o jego (*Sikorskiego*) zaproszeniu narusza zasady funkcjonowania struktur wielostronnych jak G-20. (...) Polska nie wnosi niczego nowego. Polska pod względem potencjału gospodarczego nie pasuje do tej kategorii państw". Tę ostatnią uwagę podyktowało chyba tylko śledziennictwo Ławrowa – pod względem PKB za rok 2025 Polska ma tylko nieco ponad dwa razy słabszy uzysk od Rosji, mocarstwa w końcu globalnego, wyraźnie zaś przewyższa bilans RPA czy Argentyny, krajów należących do G-20.

Ławrow zachowywał się w Atlancie jako reprezentant państwa, na które szczują Zachód i podległe mu gremia międzynarodowe. A Sikorski miał sytuację komfortową. Mógł ją wykorzystać konstruktywnie w stosunku do Rosji, która jest i pozostanie najważniejszym punktem odniesienia dla Polski na wschodzie. Zabrakło mu: woli? wyobraźni? Ale oddajmy Sikorskiemu należne: w ONZ skierował do Ławrowa ważne przesłanie – niech Moskwa zakończy wojnę w Ukrainie. I kolejne, wysłowione niedawno: z Rosją, która odstąpi od tej wojny, Polska gotowa będzie wznowić stosunki dobrosąsiedzkie. Tędy droga!

prof. Jarosław Bratkiewicz

eprasa.pl ec2fe7df1d

I co teraz, Panie Prezydencie?

Po wyborach do amerykańskiego Kongresu musiała Panu zrzednąć mina...

Włożył Pan wszystkie jajka do jednego koszyka. Stał się Pan polskim i europejskim eksponentem ruchu MAGA (*Make America Great Again*). Przyjął Pan jego ultrakonserwatywne wartości (z którymi przecież Pan w pełni się utożsamia). Bardzo chciał Pan stanąć na czele, w pierwszym rzędzie, światowej kontrrewolucji zamierzającej narzucić demokratycznym społeczeństwom te wartości drogą mieszania w kampaniach wyborczych, m.in. słowem Donalda Trumpa i serwisem X Elona Muska. W trakcie swojej kampanii wyborczej jeździł Pan do Waszyngtonu specjalnie po to, żeby zdobyć fotkę z obecnym prezydentem USA, obaj ze sztucznymi uśmiechami na twarzy i kciukami uniesionymi w górę. Kto wie, może wówczas to zadziałało? Ostatecznie wygrał Pan o włos.

Zapisał Pan się do trumpowej Rady Pokoju, nalegał, żeby rząd wyasygnował na ten cel cały miliard dolarów, czyli prawie 4 miliardy złotych. Tyle mniej więcej kosztuje zakup jednej eskadry (16 sztuk) samolotów bojowych typu FA-50. Może z tego wyciągnie Pan jakiś wniosek, jako zwierzchnik Sił Zbrojnych RP. Bo o tej Radzie nikt już nie pamięta, a kilku dyktatorów z różnych krańców świata żądane przez Trumpa pieniądze wpłaciło... Dobrze, że nie zrobili tego premier Tusk i minister finansów Domański, których zresztą oskarża Pan o niepilnowanie równowagi finansów publicznych.

Tuska wypchnął Pan – rękoma Adama Bielana, dzięki jego wpływom w sekretariacie Susie Wiles, ówczesnej szefowej personelu Białego Domu (właśnie straciła stanowisko wskutek klęski Republikanów w wyborach do Kongresu) – z rozmów między Trumpem a Europejczykami na temat wojny Rosji w Ukrainie. Raz go Pan zastąpił, online, później żadnego z Was do stołu już nie zapraszano. Od tamtej pory wszystko działo się ponad naszymi głowami.

Chełpił się Pan „przyjaźnią" ze swoim amerykańskim odpowiednikiem, ale jedyna karta, jaką ma Pan w ręku w tym względzie, to numer jego komórki, na który może Pan wysyłać SMS-y. Bo telefonów nie odbiera. Na SMS-y też nie odpisuje. Nie przeszkadzało to Panu naigrywać się z premiera i ministra spraw zagranicznych, że nie mają wejścia do Białego Domu. Radosław Sikorski także dlatego, że jego żona, amerykańska publicystka i pisarka Anne Applebaum, twarda krytyczka 47. prezydenta, jest u niego na czymś w rodzaju listy proskrypcyjnej.

Niebieska bomba atomowa

Otóż, 3 listopada to wszystko przestało mieć znaczenie. Kontrolę zarówno nad Senatem, jak i Izbą Reprezentantów przejęła Partia Demokratyczna. Analitycy początkowo nieufnie podchodzili do przedwyborczych sondaży, w dniu głosowania mówiono o niebieskiej (kolor demokratów) fali, potem tsunami, w końcu o efekcie bomby atomowej. Republikanie zostali zmieceni z powierzchni polityki; przynajmniej bieżącej. Czy utrzymają swój radykalno-populistyczny charakter – który Panu, Panie Prezydencie, tak bardzo pasuje, czy też może odrodzą się jako Wielka Stara Partia, konserwatywna, ale odpowiedzialna – zobaczymy. Jeśli to pierwsze, to do końca Pana kadencji nie będą mieli nic do powiedzenia. Jeśli drugie – na pewno nie zostanie Pan w tym gronie przyjęty z otwartymi ramionami.

Do końca swojej kadencji, czyli jeszcze dwa lata, Trump nie będzie miał łatwych relacji z Kongresem. Zwłaszcza w polityce wewnętrznej. I w licznych postępowaniach, śledztwach, w komisjach śledczych, które powstaną w celu zbadania decyzji i korupcji w czasie rządów Pana „przyjaciela" i jego podwładnych w okresie 2025-2026. Prezydent odgryza się, że będzie wszystko wetował – zupełnie jak Pan. Niech Pan mu to w tych SMS-ach odradzi. Pan już wie, że to nic nie daje. Co najwyżej spadek zaufania oraz sympatii opinii publicznej i przyszłych wyborców.

W polityce zagranicznej głowa amerykańskiego państwa ma więcej uprawnień i swobody. Może kontynuować wojnę z Iranem, może doprowadzić do kapitulacji Ukrainy na rosyjskich warunkach. Kongres ma jednak swoje instrumenty. Zwłaszcza pieniądze. Może spętać ręce Pana koledze.

Weźmy mityczną stałą bazę US Army w Polsce. Naprawdę wierzył Pan, że powstanie? Że Trump nie ugnie się przed żądaniem Putina, aby infrastruktura wojskowa NATO i USA nie była rozbudowywana na flance wschodniej? Jego warunkiem jakiegokolwiek rozwiązania pokojowego jest, aby została ona – dokładnie odwrotnie – zwinięta. Po drugiej stronie Witkoff (biznesowy partner pana „przyjaciela"), Kushner (jego zięć) i sam lokator Białego Domu słyszą kierowaną do nich osobiście ofertę wielomiliardowych kontraktów i zysków. Wie Pan, co by wybrali?



Więc teraz to Sikorski, Applebaum i Tusk będą mogli się z Pana naigrywać – że nie ma Pan wejścia na Kapitol, że może Pan jedynie porobić sobie fotki w Gabinecie Owalnym, które nie będą mieć żadnego znaczenia.

Politykę zagraniczną niech Pan już sobie odpuści. W Europie nikt Pana nie poważa, ani Zachodniej (zwłaszcza w UE), ani w Ukrainie, a już zupełnie nie w Moskwie. Ale niech Pan lata po świecie, bo to prezydencki rytuał. Może Afryka? Niech Pan ponownie wybierze się do Senegalu, który tak łatwo Pan odpuścił, żeby wrócić do Warszawy i wedrzeć się do siedziby Trybunału Konstytucyjnego.

Nowa strategia?

Powinien Pan przemyśleć polityczną strategię. Niech Pan wyciągnie trafne wnioski z wyborczej klęski Trumpa, Pańskiego idola. Mniej totalnej destrukcji, zrobienie chociaż trochę czegoś pozytywnego dla państwa i społeczeństwa – jako całości, nie tylko dla Pana (i obu Konfederacji, i PiS) najwierniejszych wyborców. Ostatecznie jest Pan najwyższym przedstawicielem Rzeczypospolitej, gwarantem ciągłości władzy państwowej, spoczywa na Panu obowiązek czuwania nad przestrzeganiem Konstytucji, ma Pan stać na straży suwerenności i bezpieczeństwa oraz nienaruszalności i niepodzielności terytorium RP. Właśnie to Pan przysięgał, nie toczenie wojenek z rządem, który się Panu nie podoba i który miał grubo większe poparcie społeczne niż Pan.

Odradzam na przykład brnięcie w jakieś awantury polexitowe. Mimo że Pana to korci, bo tej Unii nie znosi Pan przynajmniej w takim samym stopniu, w jakim jest Pan wciąż zapatrzony w Trumpa. Namawiają też do tego Pana sojusznicy: już nie tylko Grzegorz Braun, pewnie Sławomir Mentzen (jako ultraliberał) i Krzysztof Bosak (jako narodowiec), ale i Jarosław Kaczyński. Ten ostatni już wie, że nie da się przekształcić ustroju w autokratyczny pozostając w UE. Osiem lat się z Brukselą w tej sprawie boksował. A Panu marzy się ponowne objęcie urzędu po zmianie Konstytucji z pełni demokratycznej na wzorowaną na sanacyjnej z kwietnia 1935 r. Niech Pan porzuci myśl, uda się stworzyć się pakt senacki całej prawicy, zdobyć w „izbie refleksji" większość, zarządzić referendum (prezydent za zgodą Senatu) w sprawie nowej ustawy zasadniczej i je wygrać.

Kaczyński niedawno wyłożył karty na stół. Chce w Unii pozostać, ale tylko takiej, jaka jemu – i innym prawicowym, populistycznym kandydatom na dyktatorów (np. Le Pen) – się spodoba. Jeśli nie będzie chętnych do zmiany unijnych traktatów, to zaczniemy rozmowy na temat opuszczenia UE. A takiej zmiany, o której myśli polska prawica, nie będzie. Nie tylko dlatego, że wymagałaby zgody wszystkich, co do jednego, państw członkowskich. Głównie dlatego, że Unia jest wspólnotą demokratyczną, bez tego straciłaby sens. A wychodzenie z niej Polakom się nie spodoba. Po co wywoływać polityczną wojnę domową?

Niech Pan też nie brnie w beznadziejną walkę o Trybunał Konstytucyjny Święczkowskiego i Sochańskiego. Fakt, Pańskie konsultacje okazały się klapą. Bo nie miał Pan realnego pomysłu, który mógłby pogodzić zwaśnione strony. Fajnie, że wziął Pan przykład ze swojego poprzednika Aleksandra Kwaśniewskiego – jednak chodzi tu nie tylko o formę, lecz i o treść. I o bezstronność mediatora.

Proszę (choć bez wielkiej nadziei), aby Pan to wszystko przemyślał.

Jakub Jabłoński

eprasa.pl ec2fe7df1d

Nr 46 (322) 13-19.11 2026 r. F!

Rosja na ruchomych schodach

Pisarz Dmitrij Głuchowski nazywany jest gwiazdą rocka literatury rosyjskiej. Porównanie jest trafne, jeśli przyjmiemy, że subkultura cieszy się większym popytem niż literatura klasyczna.



Dmitrij zaczął pisać swoją pierwszą powieść fantasy „Metro 2033” jeszcze w szkole. Ukończył ją będąc studentem. Wysłał rękopis do kilku wydawców. Wszyscy odrzucili ze zjadliwymi komentarzami. Następnie „bezczelny grafoman”, jak jeden z krytyków literackich nazwał Głuchowskiego, opublikował powieść na swojej stronie internetowej. Sukces był oszałamiający! Trzy czołowe rosyjskie wydawnictwa przeprosiły autora i zaproponowały jej wydanie.

Mucha w bursztynie

Powieść „Metro 2033” stała się jednym z największych rosyjskich bestsellerów lat 2000. Została przetłumaczona na 37 języków, a jej nakład przekroczył milion egzemplarzy. Na jej podstawie powstały również trzy gry wideo. Prawa do ekranizacji kupiło Hollywood. Złapawszy „Boga za nogi” Głuchowski napisał kontynuacje „Metra 2033” – „Metro 2034” i „Metro 2035”. W postapokaliptycznej, dystopijnej trylogii po zbombardowaniu miasta mieszkańcy Moskwy są zmuszeni do życia pod ziemią. „Złośliwi” widzieli w Głuchowskim proroka. Następnie napisał mistyczne powieści „Zmierzch”, „Post” i „Tekst”. We wrześniu ukazała się jego nowa powieść „Rejestracja”. To pierwsza realistyczna książka Dmitrija Głuchowskiego. Autor w końcu zstąpił z obłoków na grzeszną ziemię i napisał o tym, jak wojna z Ukrainą okaleczyła moralnie kilka pokoleń Rosjan.

Fabuła powieści została zaczerpnięta, jak to mówią, prosto z gazet. Główną bohaterką jest Uljana. Ma 30 lat. Mieszka w Wołogdzie. Uljana jest w ciąży z Saszą, żołnierzem kontraktowym. Sasza, który stracił nogi w wojnie z Ukrainą, umiera w moskiewskim szpitalu. Małżeństwo Uljany i Saszy nie jest zarejestrowane, co oznacza, że przyszła mama nie otrzyma po nim pieniędzy.

Uljana jedzie do Moskwy, aby udowodnić swój związek z ojcem ich nienarodzonego dziecka. Jednak matka Saszy, Tatiana, również rości sobie prawa do tych pieniędzy. Aby pozyskać przychylność urzędników, obie kobiety przekupują ich i donoszą na siebie nawzajem do Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB). Oto fabuła.

Uznany w Rosji za „zagranicznego agenta” pisarz Głuchowski został zmuszony do emigracji. Mieszka z rodziną w Barcelonie. Powieść „Rejestracja” to pierwsza książka Dmitrija Głuchowskiego napisana za granicą. Zgodnie z tradycją, autor kontaktuje się z czytelnikami po publikacji książki.

Anton Arbatow: Dmitriju, wojna w Ukrainie się nie skończyła. Może warto było poczekać aż się skończy i spojrzeć na wydarzenia z bardziej namacalnej perspektywy?

Dmitrij Głuchowski: Dystans historyczny wiąże się z utratą pamięci. Kiedy książka się starzeje, uczucia i myśli stają się nieświeże. Odkrycia są świeże w danej chwili. Jeśli tracisz czas, twoja ostrość spojrzenia się zaciera; nie pamiętasz wszystkiego, co przeczytałeś i usłyszałeś. Właśnie teraz trwa proces o ogromnym znaczeniu historycznym zarówno dla Rosji, jak i dla świata. Dla Rosji, z moralnego punktu widzenia, te wydarzenia są wręcz katastrofalne. Wymaga to natychmiastowego rejestrowania, dopóki nie ujrzymy szerszego obrazu i nie zrozumiemy skali katastrofy. W powieści „Rejestracja” postawiłem sobie za cel „zatopienie muchy w bursztynie”. Utrwalenia chwilowego poczucia czasu.

Twoja powieść wywołała burzę w mediach społecznościowych. Jeden z głównych zarzutów: dlaczego przeciwstawiłeś Moskwę i prowincję? W powieści prowincja poniża się, pije na umór i pogrąża w życiu na samym dnie. Tymczasem Moskwianie „pływają w czekoladzie”. Dlaczego dolewasz oliwy do ognia?

Te dwa światy zderzyły się przede mną i beze mnie. Moskwa od zawsze była nielubiana na prowincji. Życie na rosyjskiej prowincji niewiele przypomina życie w Moskwie czy Petersburgu. Za Gorbaczowa i Jelcyna ta różnica zaczęła się zacierać. W miastach liczących ponad milion mieszkańców standard życia zaczął zbliżać się do poziomu stolicy, ale wojna i reżim Putina cofnęły prowincję do średniowiecza.

Główny koszt ludzki wojny ponoszą prowincje. To stamtąd rekrutują się „ochotnicy”. Prowincje nigdy nie widziały ogromnych pieniędzy, jakie otrzymują najemni „patrioci” z tytułu kontraktów. Łatwo pieniędzmi zwabić „biedaka” na wojnę, ale aby ukryć cynizm transakcji, propaganda owija zbrodnię rządu w ładne opakowanie „patriotyzmu”, „obowiązku” i „bohaterskiego czynu dla przyszłości Rosji”. Władze zrobiły wszystko, co możliwe, by ukryć wojnę, zamaskować ją i stworzyć iluzję dobrobytu, spokojnego, beztroskiego i sytego życia dla mieszkańców Moskwy i Petersburga. Narodził się niepowtarzalny moskiewski patriotyzm. A cmentarze w prowincjonalnych miasteczkach pękają w szwach. To ważny znak naszych czasów.

Zatruta melasa

Pytanie, które z gniewem zadają twoi oponenci: jak można pisać o Rosji, skoro się tam długo nie mieszka? To odwieczne pytanie. Jego autorzy „zapominają” lub nie wiedzą, że na przykład Mikołaj Gogol napisał swój wiersz „Martwe dusze” w Rzymie. Iwan Bunin stworzył swoje najlepsze dzieła – „Przeklęte dni”, „Miłość Mitii”, „Życie Arseniewa” – w Paryżu. Marina Cwietajewa napisała swój słynny wiersz „Tęsknota za ojczyzną” w Pradze. Przykładów jest wiele. Jak odpowiesz na zarzut „nieznajomości materii życia”? I jak pogodzić tych, którzy wyjechali z kraju, z tymi, którzy pozostali?

Sam dialog jest już krokiem w kierunku pojednania. Podawanie recept to nieuniknione uproszczenie sytuacji. Wszyscy jesteśmy współodpowiedzialni za zbrodnie wojenne reżimu Putina. Zostaliśmy postawieni przed faktem dokonanym bez pytania, zostaliśmy wrzuceni w ten kocioł wojny. Nie chcemy uczestniczyć w tej przygodzie i zrzucamy winę na innych: niektórzy wskazują na Ukraińców, inni na Zachód, na Stany Zjednoczone; niektórzy uważają się za „dobrych Rosjan”; niektórzy są na zesłaniu, inni sami wyjechali. W „Rejestracji” uchwyciłem myśli, wątpliwości, udręki i wahania ludzi o różnym statusie społecznym.

Jestem w stałym kontakcie z przyjaciółmi, znajomymi i krewnymi, zwłaszcza mieszkającymi na prowincji, z której pochodzę – Kostromie. Korespondujemy. Widzę, jak zmienia się ich stosunek do wojny – od gniewu do rezygnacji połączonej z depresją. Wielu straciło nadzieję na przyszłość. Niektórzy próbują usprawiedliwiać działania reżimu przed samymi sobą, aby nie postrzegać kraju, w którym się urodzili i żyją, jako absolutnego zła. Aby uwolnić się od pokusy stawiania oporu reżimowi, lęku przed nim. Państwo zmusza bohaterów mojej książki do potwornie niemoralnych czynów. Karmi ich argumentami, które usprawiedliwiają podłość. Degradacja władzy idzie w parze z degradacją zarówno społeczeństwa, jak i jednostki. „Mały człowiek”, bezwartościowy i niezauważalny w życiu codziennym nagle czuje się znaczący, opierając się na państwie i jego nikczemnych celach. Całe życie ukrywał się przed państwem poprzez napady obżarstwa i kłótnie z żoną, a potem państwo sobie o nim przypomniało: „Idź, chroń nas przed Zachodem!”. I nakarmiło biedaka zatrutą melasą – pieniędzmi.

W trylogii „Metro” przewidziałeś wiele, zwłaszcza moralny upadek społeczeństwa. Moskwianie jeszcze nie śpią pod ziemią, ale… Czy najgorsze dopiero nadejdzie?

Oceń to sam. Ekonomiczne możliwości Putina, by kupić lojalność społeczeństwa, wyczerpują się. Nie może wygrać wojny, ale nie może jej też przegrać. Nie może oddać władzy, bo postawił na szali swoje polityczne i fizyczne przetrwanie. Pozostaje tylko jedno wyjście: podniesienie stawki. Zaszczepienie wojny w każdej komórce, w każdym umyśle od dzieciństwa. Wojna musi stać się nieuniknioną i pożądaną (!) wizją przyszłości dla każdego Rosjanina. Tak Putin widzi przyszłość Rosji.

Rosję czeka totalitaryzm militarny, ale będę niezmiernie szczęśliwy, jeśli się pomylę.

Anton Arbatow, Moskwa

przekład Marta Hofman

eprasa.pl ec2fe7df1d

Pejzaż po „złojeniu dupy”

„Jeśli mianujemy Trumpa kandydatem na prezydenta, zostaniemy zniszczeni i będziemy na to zasługiwać”. Kasandryczna przepowiednia republikańskiego senatora Lindseya Grahama z maja 2016 r. spełnia się 10 lat później.

Autor tego nie doczekał umierając kilka miesięcy temu. Darlene, siostrę Grahama mianowaną przez Trumpa na jego miejsce w Senacie, wyborcy z konserwatywnej Południowej Karoliny odesłali z powrotem w niebyt.

Tresowane foki

Niemal żaden z ekspertów nie przewidział rozmiarów wyborczej klęski trumporepublikanów. Jest zasługą ich herszta, rachunkiem wystawionym mu przez Amerykanów. Paradoksalnie jest jego sukcesem: podczas 30 partaitagów w przedwyborczym miesiącu Trump usilnie nalegał, by „głosować tak, jakby to on kandydował”. Wyborcy dokładnie tak postąpili. Republikanie chwiejnie gramolą się z ziemi po ciężkim nokaucie – „złojeniu dupy”, jak to określają konserwatywni komentatorzy i politycy. W głowach jeszcze szumi, lecz rozpoczynają rozliczenia, szukanie winnych. „Trump nie dopuszczał do ujawnienia akt Epsteina, chroniąc gwałcicieli i pedofilów. Wszczął wojnę, której nikt nie chciał, zabił dzieci wypełniające szkołę. Stawiał interesy elity bogatych sponsorów ponad dobrem walczących o przetrwanie Amerykanów, którzy go wybrali. Jego cła spowodowały, że nie stać ich na życie. Sprawił, że ceny oleju napędowego i benzyny wystrzeliły, podczas gdy on zarabiał na manipulacjach giełdowych i handlował kryptowalutami. A republikanie stali za nim bez słowa i klaskali, jak tresowane foki”. Można by mniemać, że to słowa bezkompromisowego krytyka lewicowego, lecz nie. To mówi Marjorie Taylor Greene, do niedawna republikańska kongresmenka z awangardy tresowanych fok.

Metamorfozę przeszła znana prawicowa komentatorka Megyn Kelly. Piętnuje „chciwość Trumpa, który otoczył się hochsztaplerami i zrujnował Partię Republikańską. Nie jesteśmy już zainteresowani jego przedstawieniami, jego wybrykami, kantami kosztem Amerykanów, którzy potrzebują pomocy. Musimy znaleźć nowego, charyzmatycznego, uczciwego i etycznego lidera”. Bojaźń bożą przed Trumpem utracił ustępujący gubernator Ron DeSantis z Florydy, jedynego dużego stanu, gdzie udało się zainstalować republikańskiego gubernatora i utrzymać u władzy – choć znacznie osłabionych – republikanów. Mówił o „zagładzie republikanów”; szczególnie bolał nad utratą Teksasu, perły w koronie republikańskiej.

Oprócz fiaska wyborczego w Teksasie republikanie nie mogą się pogodzić z utratą tak betonowo prawicowych stanów jak Iowa, Kansas czy Missisipi. Z tego ostatniego, rasistowskiego, stanu do Senatu najprawdopodobniej trafi ciemnoskóry Scott Colom. W Missisipi od czasów rekonstrukcji po wojnie domowej nie wybrano do władz Afroamerykanina… W Los Angeles wybory na burmistrza wygrała Nithya Raman. Po Mamdanim w Nowym Jorku staje się drugim socjaldemokratą u sterów wielkiej metropolii USA. W parlamencie znajdą się niezamożne osoby bez poparcia elit, wcześniej niemające na to szans. LaKesha Womack to przyszła kongresmenka demokratyczna z prawicowej Północnej Karoliny. Jak wielu Amerykanów pozbawionych ubezpieczenia, cierpiąca na cukrzycę Womack stanęła w oblicz bankructwa i w roku 2016 była – wraz z dzieckiem – bezdomna. Jej kapitał wyborczy wynosił 59 tys. dolarów, a mimo to wygrała z bogatym republikaninem Timem Moorem, który dysponował prawie 3 mln.



Unikalna cecha ostatnich wyborów: duże pieniądze nie zapewniały wygranej. Musk wpompował w republikańskich kandydatów pół miliarda dolarów (tylko przeciwko Talarico wyłożył 212 mln) i nic to nie dało. Teraz najbogatszy ziemianin będzie przesłuchiwany w Kongresie. Pod przysięgą opowie o swych machinacjach finansowych, będzie indagowany, jakim prawem wstrzymał przekazywanie Ukrainie ostrzeżeń systemu satelitarnego Starlink, co kosztowało życie wielu ludzi. Luminarze demokratyczni (np. były minister prof. Robert Reich oraz noblista prof. Paul Krugman) mówią o konieczności nacjonalizacji niektórych firm Muska o newralgicznym znaczeniu dla bezpieczeństwa narodowego USA.

Separacja

Nad trupem politycznym Trumpa krążą dziennikarze. Analityk Eric Levitz z portalu Vox podkreśla, że „prezydent wykazywał mniej niż zero zainteresowania podwyżką kosztów utrzymania, windowanych cłami i wojną w Iranie. Okrutny, autorytarny charakter jego rządów objawił się w ostatnich dwóch latach bardziej drastycznie niż kiedykolwiek wcześniej: w nacjonalistycznych sloganach i łapankach antyimigranckich agencji ICE. Wyborcy pochodzenia latynoskiego odwrócili się od republikanów. Także wielu innych Amerykanów po zabójstwach obywateli USA przez ICE. Partia musi odseparować się od Trumpa; nie ma szans, że on sam da się odsunąć w cień. (…)”.

Po 3 listopada Trump nie jest już wszechwładnym carem, który mógł sprawić, że najdrobniejsze nieposłuszeństwo oznaczało koniec kariery politycznej, bo Trump wskazywał alternatywnego, uległego kontrkandydata w prawyborach. Nie został jednak pozbawiony realnej siły. Jest wciąż liderem władzy wykonawczej, podlegają mu policje, wywiady i siły zbrojne. Coraz częściej słyszy się obawy, że w desperacji może szukać sposobu odwrócenia uwagi od klęski 3 listopada i od obarczania go winą za „wyborcze Waterloo”. Ponoć rozważa użycie broni jądrowej w Iranie; nie ma pewności, czy podwładni będą w stanie go od tego odwieść. Zapytany oświadczył, że jej nie użyje, lecz jego słów nie można traktować serio. Realne stają się zamiary interwencji zbrojnej na Kubie, która Trumpowi jawi się jako łatwiejszy cel, gwarantujący sukces na podobieństwo Wenezueli.

Zapowiedź zemsty

W polityce wewnętrznej jeszcze w powyborczą noc Trump odgrażał się, że będzie zwalczać demokratów używając prawa weta. Zwycięska partia przygotowuje ofensywę ustawodawczą. Na pierwszy ogień ma pójść anulowanie cięć w programie ubezpieczenia zdrowotnego dla uboższych Medicaid. Republikański Kongres zatwierdził je już dawno, lecz sprytnie zaplanowano wprowadzenie ich w życie dopiero po wyborach połówkowych. Czy Trump będzie w stanie sparaliżować ustawodawczą dominację demokratów stosując weto, tym bardziej że brak im 290 głosów koniecznych do przezwyciężenia go?

Paul Krugman zapewnia, że Trump może tym tylko pogorszyć sytuację swoją oraz swej partii. Wystarczy, że demokraci przedstawią ustawy ewidentnie korzystne dla szeregowych Amerykanów oraz międzynarodowego wizerunkowi Ameryki. Chodzi np. o powszechne ubezpieczenie zdrowotne, opodatkowanie korporacji paliwowych czerpiących monstrualne profity z wysokich cen ropy czy o ujawnienie akt Epsteina. W kategorii międzynarodowej kluczowe jest przywrócenie sankcji (zatwierdzonych przez Kongres i bezprawnie anulowanych przez Trumpa) przeciw Rosji oraz wznowienie pomocy militarnej dla Ukrainy. Wetując takie ustawy Trump sprowadzi gniew społeczny na siebie i zmniejszy szanse na lepszy wynik swej partii w przyszłych wyborach.

Nie wyklucza się, że czasem z demokratami zagłosują w Kongresie republikanie. Jednym z elementów zapowiadanej ofensywy demokratycznego parlamentu jest inicjacja procedury impeachmentu; stawianie w stan oskarżenia prezydenta oraz członków jego reżimu. Część ekspertów ostrzega przed tym wskazując, że poprzednio dostarczyło to republikanom argumentu, że oni oraz ich lider są szykanowani. Jednak to nie demokraci, a kongresmen republikański Thomas Massie 9 listopada wszczął impeachment przeciwko szefowi Pentagonu Hegsethowi.

Takiej przewagi w Kongresie nie miała żadna z partii od wyborów w 1976 r., po obaleniu Nixona. W roku 2024 Trump wygrał przewagą 1,5 proc. głosów. Obecnie przewaga demokratów wynosi 13 proc. i rośnie. Na kooperację nie ma jednak co liczyć. Dobitnie uzmysławia to mianowanie przez Trumpa szefem personelu Białego Domu żydowskiego faszysty Stephena Millera o wzroku i retoryce Hansa Franka.

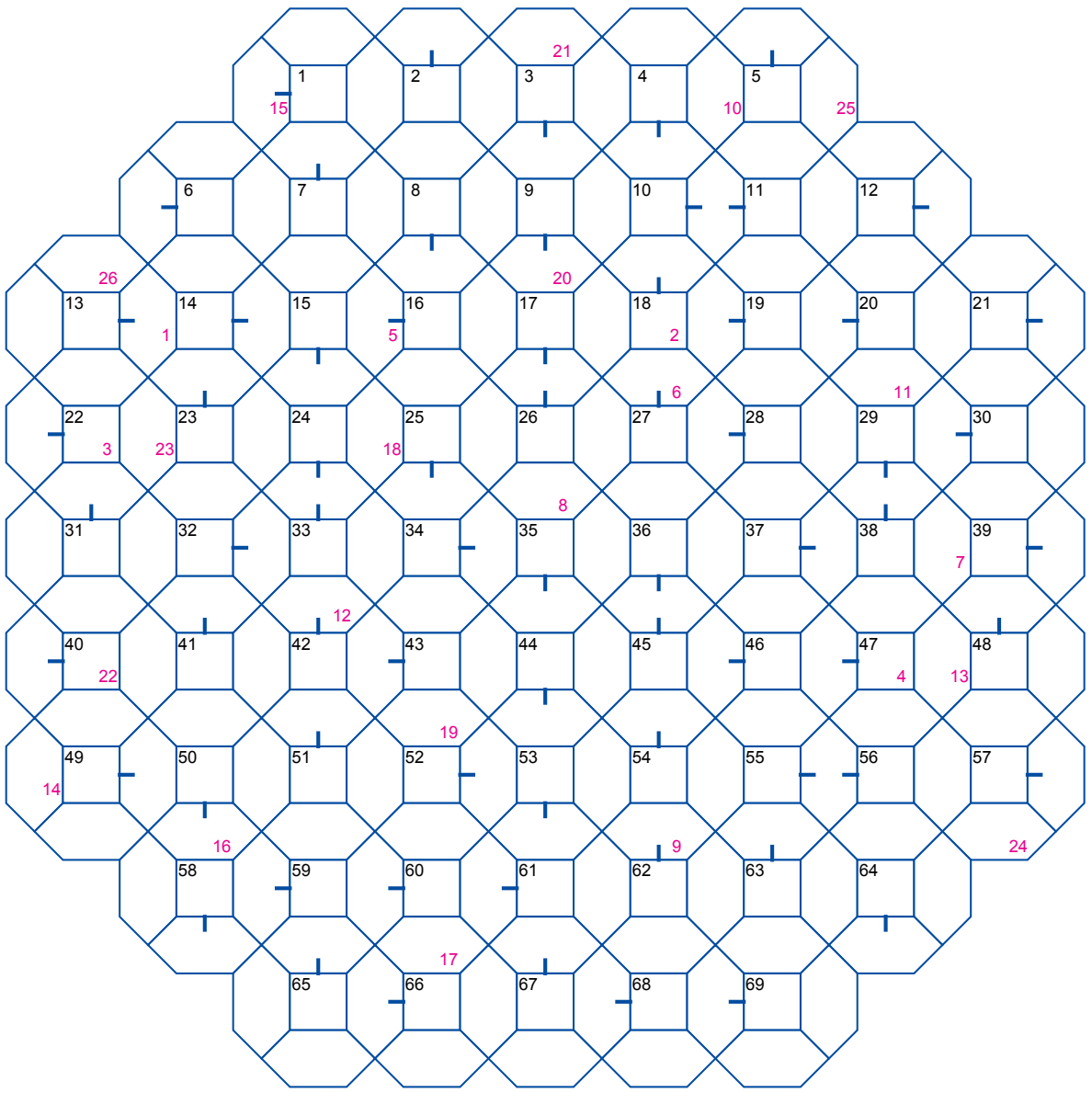
Janusz Zawodny, Tampa (Floryda)

eprasa.pl ec2fe7df1d

WIRÓWKA

Pierwszą literę odgadniętego hasła wpisujemy do środkowego, drugą do zaznaczonego pola, a następnie prawoskrętnie. Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu utworzą rozwiązanie.

1) przeciwnik walczący o pierwszeństwo, 2) główna tętnica organizmu, 3) układ zębów interesujący ortodontę, 4) przy filiżance lub w barszczu, 5) narzędzie do pisania lub ptasie okrycie, 6) stres przed występem, 7) sygnał zagrożenia, 8) strój odświętny lub codzienny, 9) skupienie albo nagana, 10) podpiera piętę w bucie, 11) dzieło w ramie, 12) skrzydlaty koń, 13) miejska zieleń na małym placu, 14) kartka z ceną przy towarze, 15) głośna nieczysta sprawa, 16) targowisko pod chmurką, 17) zielona na łące i boisku, 18) stopień za odpowiedź, 19) skarbiec z baśni, 20) część składu pociągu, 21) lodowy nalot na gałęziach, 22) akord gitarowy, 23) odcinki wyścigu, 24) mebel na ubrania, 25) dzienny przychód sklepu, 26) krawędź lądu lub naczynia, 27) płonie na grobie lub igrzyskach, 28) granica nie do przekroczenia, 29) zbiera się w ustach łasucha, 30) domowy mebel z trunkami, 31) przyrząd do ćwiczeń siłowych, 32) indiańskie trofeum wojenne, 33) wnętrze kości, 34) początkujący w zawodzie, 35) kosmetyczny pył na twarz, 36) organ bijący w piersi, 37) uprawnia do przejazdu, 38) dowód niewinności, 39) szklany pojemnik z zakrętką, 40) dach wsparty na słupach, 41) drzewce pod żagle, 42) kapusta z mięsem w jednym garnku, 43) działa dla wywiadu, 44) znak odejmowania, 45) wynik bez zwycięzcy, 46) jajeczna potrawa z patelni, 47) narzędzie do strugania drewna, 48) chronią oczy na stoku, 49) naczynie z laboratorium, 50) ślizga sanie po śniegu, 51) krój albo kondycja, 52) lekka miłostka, 53) wielokrążek do podnoszenia ciężarów, 54) sposób żywienia, 55) płaskie nakrycie głowy, 56) warzywo korzeniowe do rosołu, 57) morska jednostka długości, 58) iglaste drzewo z gór, 59) miękka skóra bez połysku, 60) długouchy kuzyn konia, 61) wznoszony za czyjeś zdrowie, 62) napięcie przed ważnym wydarzeniem, 63) odznaczenie za zasługi, 64) reprezentacja najlepszych, 65) łączy głowę z tułowiem, 66) nić na kołowrotku lub talent, 67) futerał dla ziaren grochu, 68) kierunek zmian lub mody, 69) uzupełnienie do głównego tekstu.



Rozwiązania krzyżówki prosimy nadsyłać w terminie 7 dni od ukazania się aktualnego numeru „FpM” na adres: krzyzowka@faktypomitach.pl lub pocztą pod adresem redakcji: „Fakty po Mitach”, ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź (biurowiec Tower Building).

Przesyłając rozwiązanie krzyżówki wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez administratora w celu przeprowadzenia konkursu/krzyżówki, w tym publikacji w „FpM” imienia, nazwiska i miejscowości zwycięzcy. Regulamin na stronie www.faktypomitach.pl

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 44/2026:
„A TO JAK NARZEKAŁEM”.

Nagrody otrzymują: Grażyna Grygoruk z Białegostoku, Juliusz Wojtasik z Częstochowy, Józef Kaszuba z Trzebini.

– 1 2 3 4 5 6 7 8 ... 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 ...

Z dłuższego wyjazdu żona kontrolnie dzwoni do męża:
– Karmisz kota?
– Tak.
– A rybki?

Bez empatii



Jestem oburzona, że nawet w obliczu tak wielkiej tragedii, jaka rozegrała się na Rynku w Krakowie, prawica ciągle jątrzy i w swoich mediach bezczelnie kłamie i podburza społeczeństwo. Zamiast współpracować, sączy jad oraz dla swoich populistycznych celów chce dzielić ludzi. Pokazuje zatem, że nawet w tak trudnej chwili najważniejsza jest dla niej walka o władzę. Co musi się wydarzyć, aby się opamiętała...

Oburzona

Konstytucja, konstytucja!

Uliczni kaznodzieje wracają do centrum Białegostoku.

W maju magistrat Białegostoku wprowadził w życie uchwałę rady miasta w formie regulaminu korzystania z Rynku Kościuszki i Placu Jana Pawła II. Przepisy usuwały z tych miejsc ulicznych ewangelizatorów. Od trzech lat trwała bowiem gehenna lokalnych restauratorów i ich klientów, bo religijny hałas suflowany przez megafony miał uniemożliwiać spokojną konsumpcję i jakąkolwiek rozmowę. Na hałas skarżyli się też spacerowicze, bo oni również nie byli w stanie usłyszeć nawet własnych myśli.

Po kilku miesiącach sprawa się „rypła”, bo Wojewódzki Sąd Administracyjny nie miał wątpliwości: „Wprowadzenie w uchwale możliwości organizowania uroczystości religijnych za zgodą zarządzającego obszarem jest wprowadzeniem reglamentacji, która jest niezgodna w szczególności z konstytucją” – powiedziała w uzasadnieniu wyroku sędzia Elżbieta Lemańska.

Szczęścia w wypowiedzi dla Polskiego Radia Białystok nie krył Michał Korol, dyrektor Służby Apostolskiej: „To dla nas dobra wiadomość. Sąd uznał, że radni przekroczyli swoje kompetencje i to jest w tym momencie najistotniejsze, a my możemy wracać do naszej normalnej działalności”.

Przy tej okazji targają nami sprzeczne emocje. Z jednej strony, rozumiemy tych, dla których to ciągłe, głośne narzucanie określonych religijnych wizji stało się fizycznie nie do wytrzymania. Z drugiej strony, ci uliczni kaznodzieje funkcjonują jako zarejestrowane związki wyznaniowe, a że mają taki a nie inny sposób łowienia członków – trudno. Katolicy i prawosławni w stolicy Podlasia też mają swój kult, który kilka razy w roku opuszcza granice świątyń, tamuje ruch uliczny i generuje hałas. Im jednak nikt nie robi z tego powodu problemów. A przecież Konstytucja RP jest i dla jednych, i dla drugich.

Urząd Miejski w Białymstoku zapowiedział odwołanie się od tego wyroku do Naczelnego Sądu Administracyjnego.

Wacław Jerzy Koniecpolski

eprasa.pl ec2fe7df1d



Pasty można rozsmarować na chlebie, bułce, krakersach, można w nich maczać warzywa, podać je na śniadanie, kolację, spotkanie towarzyskie.

Fragment z reklamy w czeskim sklepie

Pyszne smarowidła

Jak wiecie, czas spędzany w Ustroniu wykorzystywałam nie tylko na rehabilitację, ale dokształcałam się też kulinarnie, poznając uroki cieszyńskich ciasteczek, góralskich serów, prostej tamtejszej kuchni.

Pani Basia, moja tamtejsza ciasteczkowa mentorka, zabrała mnie do sklepu z gospodarstwem domowym w czeskim Cieszynie, żebym mogła kupić dodatkowe kształty foremek. Była to także okazja, by wejść do sklepu spożywczego po coś dobrego, co przełamie absolutną nudę sanatoryjnej kuchni. I jak zwykle w Czechach znów uwiodły mnie czeskie pomazánki. Znów, bo za każdym razem, kiedy tam jestem, delektuję się bogactwem i smakowitością past kanapkowych, a także sałatek, które kupuje się na wagę. I pozwalam sobie na chwile szaleństwa… zazdroszcząc braciom Czechom, bo my raczej nie mamy takiej tradycji. Piszę raczej, bo nie widziałam w sprzedaży past kanapkowych, poza tymi w słoikach czy puszkach.

Pasty, pomazánki, smarowidła

A przecież różnego rodzaju smarowidła cieszą się popularnością w wielu miejscach świata, najczęściej podaje się je na grzankach, kromkach chleba lub bagietki (podobnie jak bruschettę czy crostini), ale także na małych chrupiących krakersach. Czasem serwuje się w formie dipu, idealnej przekąski na imprezę. Wystarczy tylko przygotować dwa, trzy rodzaje smarowideł, a obok talerz pokrojonych surowych warzyw, np. łodygi selera, ogórek, marchewka, papryka, kalarepka, którymi się je nabiera.

Podstawą past kanapkowych są różnego rodzaju sery, jajka, wędliny, ryby, warzywa, czasem dodaje się masło, dzięki któremu stają się bardziej smarowne, no i oczywiście zaostrzające smak, dodające głębi dodatki, jak np.: musztarda, chrzan, sos Worcester, mielona papryka. Czasem przemyca się w nich warzywa. A potem? Smaruje się nimi zamiast masłem kromki chleba, bagietkę, a w Czechach rohlíky, wyglądające jak wyprostowane rogale… Pomazánky przygotujecie bez wysiłku, poradzi sobie z nimi i kulinarny laik. Wystarczy większość składników zblendować, dodać troszkę czegoś do rozrzedzenia (np.: mleka, śmietany, jogurtu lub majonezu), jeszcze raz zblendować na gładką puszystą masę. I doprawić. Jeśli nie lubicie idealnie gładkich past, część składników możecie zetrzeć na tarce, posiekać. Wszystko zależy od Was. No to co? Zaczynamy?

Klasyka

Z wędzonego kurczaka: ściągnijcie skórę z dwóch udek, oddzielcie mięso od kości, posiekajcie nożem, dodajcie 2 drobno starte marchewki, szczypiorek, serek śmietankowy typu Almette lub Twój Smak, trochę majonezu, posiekany ząbek czosnku, mieloną paprykę, sos Worcester, chilli (mielone, posiekane świeże lub w postaci sosu) lub chrzan, odrobinę soli i świeżo zmielony pieprz. Możecie zblendować. Jeśli chcecie, by było zdrowiej, zastąpcie serek skyrem, dodajcie mniej majonezu, wmieszajcie jeszcze drobniutko posiekane 2 łodygi selera.

Szynkowa: pokrójcie 150 g chudej szynki, dodajcie 125 g masła, 125 ricotty, 1-2 łyżki musztardy, 1-2 łyżki gorącego mleka, ewentualnie 1-2 łyżki majonezu i zblendujcie. Dodajcie pęczek rzodkiewek startych na tarce, szczypiorek, doprawcie solą i pieprzem.

Gdyby smak był za mało wyraźny, dodajcie łyżeczkę musztardy Dijon albo doprawcie mieloną ostrą papryką. A jeśli brakuje Wam zielonego, dosypcie garść posiekanej natki lub koperku.

Z sera pleśniowego typu Lazur: posiekajcie garść orzechów włoskich, dodajcie do nich 150 g śmietankowego serka, 100 g pokruszonego sera pleśniowego, 1-2 łyżki majonezu. Dołóżcie pokrojone w kosteczkę 2-3 dymki z zieloną częścią na cienkie kółka, 1-2 łodygi selera pokrojone na bardzo drobne kostki. Doprawcie solą i pieprzem. Świetnie smakuje na kanapkach z kawałkiem jabłka lub gruszki, orzechami włoskimi, gałązką selera.

Serowo-czosnkowa: zetrzyjcie na drobnej tarce 150--200 g żółtego sera (np. gouda lub edamski), dodajcie 1-3 ząbki czosnku przeciśnięte przez praskę, 2-3 łyżki majonezu, 1-2 łyżki gęstej śmietany 18% lub jogurtu naturalnego. Doprawcie szczyptą słodkiej papryki, szczypiorkiem, natką pietruszki, no i oczywiście solą i pieprzem.

Budapeszteńska: połączcie 250 g twarogu, 100 g serka śmietankowego lub skyru, łyżkę miękkiego masła, mieloną wędzoną paprykę, drobno posiekaną marynowaną lub świeżą czerwoną paprykę, drobno pokrojone szczypiorek i świeże chilli, sól, pieprz i wszystko dobrze wymieszajcie. Jeśli chcecie wyjątkowo podkręcić smak, koniecznie dodajcie posiekaną upieczoną paprykę bez skóry. A może zastąpicie ser bryndzą lub serkiem typu feta? Ale wtedy uważajcie z solą. Ta pasta dobrze smakuje ze szczypiorkiem, łagodną cebulą, kaparami.

Z sera pleśniowego typu camembert: rozgniećcie widelcem 2 sery pleśniowe, dodajcie 2 jajka ugotowane na twardo i starte na tarce, 100 g chudej szynki pokrojonej na paseczki, 2 łyżki majonezu, drobno posiekaną małą cebulę, 1 łyżkę musztardy. Wymieszajcie i schowajcie do lodówki na pół godziny.

Marchewkowa: zetrzyjcie na drobnej tarce 200 g marchewki, dodajcie 100 g tak samo startej goudy, 250 g serka śmietankowego, 2 ząbki posiekanego czosnku, 2 łyżki śmietany, doprawcie solą, pieprzem i sokiem z cytryny.

I troszkę szaleństwa

Buraczana: burak jest trochę kontrowersyjny. Ludzie dzielą się na tych, którzy go kochają lub omijają z daleka ze względu na ziemisty smak. Jeśli jednak upieczecie go w piekarniku, zmienia się, staje się słodszy, wyrazistszy. A zatem skropcie 2 buraki olejem, zawińcie w folię i pieczcie do miękkości (ok. godziny w temperaturze 200°C). Kiedy ostygną, obierzcie je, pokrójcie na mniejsze kawałki, zmiksujcie z serkiem śmietankowym i odrobiną majonezu lub jogurtu. Doprawcie solą, białym pieprzem. Bardzo dobrze smakuje na kanapce z awokado, rukolą, prażonymi włoskimi orzechami.

Skwarkowa: ta zaskakująca pasta z Czech z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku zasmakuje z pewnością wielbicielom smalcu. Zmielcie 200 skwarków (odcedzonych), dodajcie 2 jajka ugotowane na twardo i starte na tarce o drobnych oczkach, 1 średnią cebulę, łyżeczkę musztardy, szczyptę soli i pieprz. Dobrze wymieszajcie łyżką, aż składniki się połączą. Do pożądanej konsystencji możecie zmiksować ją blenderem. Przełóżcie gotową masę do pojemnika, wstawcie do lodówki na co najmniej 30 minut. W niektórych przepisach do pasty dodaje się jeszcze drobniutko posiekany ogórek kiszony, czasem posiekany ząbek czosnku. No i najlepiej podawać do niej świeży żytni chleb.

Fałszywy tatar: a to coś dla wegetarian marzących o tatarze. Obierzcie 3 ugotowane ziemniaki i posiekajcie je drobniutko. Dodajcie 2 ząbki czosnku posiekanego i utartego z solą, drobno posiekaną i sparzoną cebulę, skropcie sosem Tabasco, dolejcie 2 łyżeczki sosu Worcester, łyżkę oleju, 3-4 łyżki ketchupu, dokładnie wymieszajcie i doprawcie słodką papryką, musztardą. Podawajcie z klasycznymi dodatkami do tatara, nawet z surowym żółtkiem na wierzchu. ●

eprasa.pl ec2fe7df1d

Nr 46 (322) 13-19.11 2026 r. F!

Pomnik „Znachora”



Z gadziej perspektywy

Tam zawsze był „Kazikiem”. Pochodził z Lubelszczyzny. Po studiach został architektem. Projektował domy jednorodzinne i plany rewitalizacji obszarów miejskich. Potem trafił do Państwowego Przedsiębiorstwa Pracowni Konserwacji Zabytków w Lublinie, gdzie nauczył się konserwacji zabytków.

W 1981 r. przyjechał do Wietnamu, wtedy kraju wycieńczonego wieloletnimi wojnami. Zabytki znajdowały się w opłakanym stanie. Brakowało wszystkiego. Od pieniędzy po specjalistyczny sprzęt i doświadczonych konserwatorów. Z pomocą ruszyło UNESCO. Poszukiwano architekta, mającego doświadczenie w konserwacji zabytków, biegle mówiącego po rosyjsku i francusku. Kazimierz Kwiatkowski warunki spełniał. Był pierwszym zagranicznym konserwatorem zabytków, który przyjechał do niepodległego Wietnamu.

Jego misja trwała 17 lat. Najpierw trafił do *Mỹ Sơn*. To sanktuarium poświęcone bogowi Śiwie ufundowano w IX w. Z biegiem lat powiększało się o nowe świątynie. Po podbiciu państwa Czamów przez Wietnamczyków w 1471 r., porosło dżunglą. W 1898 r. ruiny odkryli francuscy archeologowie. Podjęli próby restauracji świątyń, ale zabrakło im pieniędzy. W czasie wojny z Amerykanami wietnamscy partyzanci założyli w dolinie *Mỹ Sơn* swoją kwaterę. Najwyższą wieżę wykorzystywali jako maszt radiostacji. W sierpniu 1969 r. bombowce B-52 wykonały nalot dywanowy na sanktuarium, niszcząc wiele budowli. Wywołało to powszechny protest, a dolina została wyłączona z operacji lotnictwa. I znów zapomniana.

Po przybyciu Kazik Kwiatkowski zastał tam wielowiekowe konstrukcje, które rozpadały się na tysiące fragmentów. Zastosował technikę ponownego, żmudnego montażu wież. Jego zespół skrupulatnie zbierał każdy odłamek, relief, dekoracyjny filar. Odtworzono tradycyjne stosowane wieki wcześniej spoiwa. Kwiatkowski korzystał z zasad polskiej szkoły konserwacji. Zamiast „pełnych rekonstrukcji”, czyli tworzenia fantazyjnych makiet, dążył do zachowania autentyczności zabytku. Uczył miejscowych, że szacunek dla oryginalnej substancji jest ważniejszy niż komercyjny efekt pseudonowości. Kiedy zabrakło funduszy, wywalczył pieniądze od międzynarodowych organizacji. Dotarł nawet do Towarzystwa Przyjaciół Kultury Czamów w niemieckim Stuttgarcie. Restauracja świątyń udała się. Miała też tragiczną cenę. W dolinie pozostały dziesiątki niewybuchów i min. Dziewięć osób z polsko-wietnamskiej misji zginęło podczas prac.

Pora „Znachora”

Początkowo Kazika zwano Człowiekiem z dżungli. Mieszkał w bambusowej chacie obok sanktuarium. Później w jednej z odrestaurowanych wież. Pracował na terenach porośniętych dżunglą. W tropikalnych temperaturach. Ubierał się jak miejscowi, palił tanie wietnamskie papierosy. Jadł z wietnamskimi robotnikami. Trzykrotnie chorował na malarię. Kiedy przestał się golić, bo brakowało mu czasu na toaletę, przylgło do niego przezwisko Znachor. Z racji podobieństwa do Jerzego Bińczyckiego, głównego bohatera popularnego wówczas w Wietnamie filmu Hoffmana. Był powszechnie lubiany. Inny od stereotypu zagranicznego, białego wyniosłego specjalisty.

W połowie lat 90. Kazik przeniósł się do *Huế*, dawnej stolicy cesarskiego Wietnamu. Zaczął ratować zniszczone w czasie wojny Zakazane Purpurowe Miasto. Pracował nad renowacją świątyni *Thế Miếu* i pawilonu *Tả Vu*. Wykonał też dokumentację grobowca cesarza *Tự Đức*. Pracował intensywnie, bez odpoczynku, ignorując swój wycieńczony organizm. W 1997 r. został szefem prac konserwacyjnych prowadzonych przy Pałacu Cesarskim. Finansowanym przez wietnamską Agencję Zarządzania Projektem *Huế*.

Jego pomnikowe dzieło powstało przypadkiem. Podczas pracy w *Mỹ Sơn* zapragnął wykąpać się w pobliskim morzu, co wywołało zdumienie, gdyż nie było tam tradycji plażowania dla relaksu. Kiedy ruszył z wietnamskimi kolegami w poszukiwaniu plaży, trafił na zapomniane, założone pod koniec I w. p.n.e. przez żeglarzy austronezyjskich portowe miasteczko. Po podboju królestwa Czamów było ono głównym portem środkowego Wietnamu. Osiedlali się tam też kupcy chińscy, japońscy oraz europejscy i zrzeszali się w izby handlowe. Wzbogaceni budowali siedziby, świątynie swych bóstw i domy przy głównych ulicach swoich dzielnic. W XIX w. port, zwany po wietnamsku *Hội An*, podupadł.

Człowiek z pomnika

Kiedy Kazik tam trafił – podobno był pierwszym białym, jakiego widzieli mieszkańcy *Hội An* – zastał unikatowy układ urbanistyczny. Stare drewniane domy, murowane świątynie. Do najcenniejszych zabytków należał „Most Japoński”. Zbudowany przez Japończyków, jedyny na świecie kryty most ze świątynią buddyjską. W nowym Wietnamie władze miasta chciały zburzyć stare domy, a w ich miejsce wybudować nowe. Zauroczony *Hội An*, Kwiatkowski sprzeciwił się temu. Uparł się, by dano szansę Staremu Miastu. Przekonywał Wietnamczyków, że jest wielką kulturową wartością. Broniąc starych budynków użył argumentu, który trafił do wyobraźni władz. „Dajcie mi dwa takie domy i budżet na renowację, a sprawię, że *Hội An* przyniesie wam bogactwo”. Przewidział, że to autentyczność i unikalność zabudowy staną się szybko żyłą złota dla tutejszej turystyki. Dzięki jego uporowi i staraniom stare *Hội An* zostało objęte ochroną prawną, na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO w 1993 r. trafiło Zakazane Miasto w *Huế*, a w 1999 r. starówka *Hội An* oraz dolina *Mỹ Sơn*.

W *Hội An* uważa się Kazika za męża opatrznościowego, który przyczynił się do sukcesu miasta. Dziś spacerując po centrum miasteczka, trafimy na skwer, zwany przez miejscowych Parkiem Kazika. Stoi tam, odsłonięty w 2007 r., jego pomnik. Autorem jest wietnamski rzeźbiarz Phạm Hồng. Kwiatkowski jest jednym z niewielu obcokrajowców upamiętnionych pomnikiem w Wietnamie. Poświęcono mu też tablice pamiątkowe, które znajdują się w pałacu cesarskim w *Huế* i kompleksie świątyń Czamów w *Mỹ Sơn*.

Kazimierz Kwiatkowski zmarł 19 marca 1997 r. w *Huế*. Na zawał serca, w wieku 52 lat. Pożegnano go z honorami godnymi wysokich urzędników państwowych. Sarkofag z ciałem wystawiono w Sali Mandarynów w Zakazanym Mieście. Choć od jego śmierci minęło ponad ćwierć wieku, mieszkańcy *Hội An* pod jego pomnikiem ciągle kładą kwiaty i palą mu kadzidła. Dobrym zwyczajem stało się, że kwiaty składają tam Polacy coraz liczniej odwiedzający *Hội An*. Ostatnio premier Tusk.

Piotr Gadzinowski

WITAMY W KLUBIE



Do Kasyna wtargnął osobnik ubrany w strój taktyczny, zaopatrzony też w hełm, broń krótką u pasa, ściskający w ręku budzącą niepokój walizkę. Po ostatnich aktach terroru taki obrazek wzbudził zrozumiałe przerażenie. Goście Kasyna poukrywali się pod stołami i za barem. Część wraz z obsługą zabarykadowała się w toalecie. Szef Ochrony Kasyna Mięśniak Stacho, gdy usłyszał wschodni akcent osobnika, zwiał gdzie pieprz rośnie, krzycząc, że za mało mu płacą, aby narażał swe cenne życie. Osobnik, widząc zamieszanie wokół siebie, profilaktycznie odpiął kaburę i położył dłoń na rękojeści broni. Rozglądał się wokół tak, jakby szukał ofiary. Na taką właśnie sytuację trafił o. Oktan, nasz Proboszcz i zarazem właściciel Kasyna. Wszedł i zdecydowanym ruchem sięgnął pod sutannę. Strzelił parokrotnie do intruza. Trafił w szyję, pachwinę i prawe oko. Jedna z kul zmiotła z planszy żywych barmana, kolejna trafiła szafkę z alkoholami. Witający goście wyszli z kryjówek i gratulowali klesze opanowania, rozeznania sytuacji i celności. Tak się złożyło, że Oktan wracał właśnie z manifestacji, na której żądano większej dostępności do broni. No bo kto nas obroni jak nie my sami?

Wkrótce zadzwonił telefon i głos w słuchawce spytał czy przez pomyłkę, zamiast w banku, nie pojawił się u nas po gotówkę nowy pracownik firmy ochroniarskiej, nieznający dobrze topografii osiedla. No tak, przez takie właśnie pomyłki dochodzi do tragedii. Dzięki bogu, że obecni cywilni posiadacze broni, tacy jak Proboszcz, to fachowcy!

OBYWATEL JANEK

eprasa.pl ec2fe7df1d

Spod kardynalskiego kapelusza

Strzały, po których już nic nie będzie jak dawniej







Zaledwie tydzień temu w Królewskim Krakowie doszło do wydarzeń, które wstrząsnęły całym krajem.

Młody, zaledwie 24-letni mężczyzna, mieszkaniec Ostrowca Świętokrzyskiego, z powodów, których pewnie już nigdy nie poznamy, zamordował swoich rodziców i młodszą o trzy lata siostrę. Potem autem zabitego przez siebie ojca przyjechał do Krakowa. Wjechał do ścisłego centrum miasta i zaczął strzelać z broni półautomatycznej do przypadkowych przechodniów. Była godzina 15, sobotnie popołudnie, a więc czas, gdy na krakowskim Rynku i w jego okolicach znajdowały się tysiące ludzi: turystów i mieszkańców miasta.

Samochód śmierci

Przejeżdżające przez miasto czarne Subaru niosło ze sobą śmierć przypadkowych osób. Rajd zamachowca zakończył się utratą życia sześciu przechodniów i poważnymi obrażeniami ciała u kolejnych piętnastu osób.

Już po dwóch minutach od ataku szaleńca w pogoń za jego samochodem ruszyli policjanci, którzy patrolowali wówczas radiowozem jedną z ulic w okolicy Kościoła Mariackiego. Pościg odbywał się ulicami starego Krakowa: Grodzką w kierunku Wawelu, a następnie Stradomską do skrzyżowania z Dietla. I to tam doszło do kolizji auta zamachowca z innymi uczestnikami ruchu. Rozpoczęła się wówczas strzelanina między młodym mordercą a ścigającymi go policjantami. Obaj poważnie ranni stróże prawa nie zaprzestali walki i kilkoma strzałami poważnie zranili przeciwnika, który upadł na ziemię. Nie wiemy, iloma ofiarami zakończyłaby się ta masakra, gdyby nie heroiczna postawa tych dwóch policjantów. Sami ciężko poszkodowani do końca unieszkodliwiali postrzelonego zamachowca, czym niewątpliwie uratowali życie wielu mieszkańcom Krakowa i turystom.

Ratunek

W ciągu zaledwie kilku minut liczne oddziały służb: policji, w tym oddziałów antyterrorystycznych, Straży Miejskiej, straży pożarnej, a także służb ratunkowych, niezwykle skutecznie przystąpiły do udzielania pomocy rannym osobom w obrębie krakowskiego Rynku i przylegających do niego ulic. Tych, po których kilka minut wcześniej poruszał się samochodem zamachowiec, siejąc śmierć i przerażenie wśród przypadkowych przechodniów.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje postawa dwóch krakowskich lekarzy, spędzających sobotnie popołudnie ze swoimi rodzinami, którzy na widok ataku zamachowca ukryli bliskich i przystąpili do udzielania profesjonalnej pomocy rannym policjantom i zamachowcowi. To ich bohaterska postawa i profesjonalizm uratowały życie tym mężczyznom. Na uznanie zasługują także ci wszyscy ludzie, przypadkowi przechodnie, ale i przedstawiciele służb medycznych, którzy czynnie włączyli się w akcję ratunkową. W czasie ataku terrorysty, ale i działań ratunkowych byłem w centrum starego Krakowa. Miałem okazję bezpośrednio obserwować to wszystko, co rozgrywało się na ulicach wokół Rynku, w tym profesjonalizm służb, które w wyjątkowo sprawny sposób nie tylko ewakuowały wszystkich ludzi ze strefy zagrożenia, ale także służyły pomocą zagubionym i przerażonym atakiem szaleńca.

Fala nienawiści

Niestety, już w kilka godzin po zamachu nieprzychylne obecnie rządzącej koalicji media rozpoczęły bezpardonowy atak na rząd i wszystkie służby biorące udział w zabezpieczaniu miejsc ataku terrorysty. Jeszcze operowano rannych, gdy prawicowe media, w tym ta telewizja, która zawsze świadomie kłamie, popierając w ten sposób dawną prawicową koalicję rządzącą, robiła to, co potrafi najlepiej – siała dezinformację. Jej szef, stojąc na krakowskim Rynku, mimo obecności tam zwartych oddziałów policji, relacjonował przebieg akcji zabezpieczającej miejsce ataku i twierdził, że doszło do niego w mieście pozbawionym służb policyjnych, gdyż te zostały odesłane z Krakowa do Warszawy w celu zabezpieczania budynku Trybunału Konstytucyjnego.

Niektóre prawicowe portale internetowe, zbliżone do obecnej opozycji, poszły jeszcze dalej twierdząc, że zamach w Krakowie to prowokacja premiera Donalda Tuska, który chce w ten sposób wywołać stan zagrożenia państwa, a w efekcie doprowadzić do wprowadzenia stanu wojennego na wzór tego z grudnia 1981 r.

Granice szaleństwa zostały jednak przekroczone, gdy na apel o oddawanie krwi na potrzeby rannych przebywających w krakowskich szpitalach, portale wrogie obecnej władzy, apelowały, aby tego nie robić, gdyż ofiarowywaną krew rząd chce sprzedać za granicę. To wyraźny dowód na to, że w naszym społeczeństwie wytworzyła się grupa, która jest w stanie uwierzyć w każdą informację, i że dla tych ludzi nie ma żadnej granicy absurdu i kłamstwa.

Milcząca zaduma

W poniedziałek w nocy, w drugim dniu po mordach, zmarł ranny zamachowiec. Śmierć sprawcy tej masakry spowodowała, że być może nigdy nie dowiemy się wszystkiego o motywach, które doprowadziły do śmierci sześciorga przypadkowych ofiar i trojga członków jego najbliższej rodziny. W krakowskich szpitalach pozostaje jeszcze piętnaścioro rannych, a wśród nich dwóch bohaterskich policjantów.

Poniedziałek był także dniem, kiedy po krakowskim Rynku przeszedł marsz milczenia z udziałem prezydenta Polski Karola Nawrockiego, prezesa Rady Ministrów Donalda Tuska, prezydenta Królewskiego Miasta Krakowa Łukasza Gibały i metropolity krakowskiego kardynała Grzegorza Rysia. Był to niewątpliwie gest szacunku dla tych wszystkich, którzy nieśli pomoc ofiarom ataku terrorystycznego, ale przede wszystkim wyraz pamięci o śmiertelnych ofiarach dramatu, który rozegrał się na ulicach Krakowa.

Polska była krajem, gdzie w najnowszej historii nie miały miejsca takie akty terroru, jakie widywaliśmy na ulicach miast wielu państw. Po strzałach, które padły 7 listopada 2026 r. na krakowskim Rynku i otaczających go ulicach, już nigdy nic nie będzie takie jak dawniej.

Andrzej Gerlach

FAKTY PO MITACH

TYGODNIK FAKTY PO MITACH
(INDEX 434000, ISSN 2719-5309)

Adres do korespondencji:
ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź
(biurowiec Tower Building)
sekretariat: tel. 501 258 385
w godz. 10.00-14.00
redakcja@faktypomitach.pl
listy@faktypomitach.pl
www.faktypomitach.pl
tygodnikfaktypomitach

Redaktor naczelny: J. Dariusz Cychol
Redaguje zespół: Anton Arbatow, Bożena Bednarek, Joanna Cyterska, Łukasz Czarnocki, Piotr Gadzinowski, Katarzyna Wilk-Wojtczak, Włodzimierz Galant, Andrzej Gerlach, Joanna Hańderek, Jakub Jabłoński, Wacław Jerzy Koniecpolski, Michał Kostur, Artur K. Lis, Krzysztof Lubczyński, Włodek Michalak, Tadeusz Nowak, Adam Papierniok, Bolesław Parma, Stefan Płonicki, Sławomir Sadowski, Joanna Senyszyn, Agnieszka Stefańska, Grzegorz Szokiński, Dorota Wróblewska.

Redakcja zastrzega sobie prawo do adiustacji i skracania tekstów. Nie zwracamy materiałów niezamówionych.
Wydawca:
„Mediator – Jan Dariusz Cychol"
ul. Pedagogiczna 22, 05-840 Brwinów
Regon: 141814816 NIP: 534 110 45 88
Dział kolportażu: kolportaz@faktypomitach.pl
Druk: ZPR MEDIA S.A.
ul. Jubilerska 10, 04-187 Warszawa

Dystrybucja: **Kolporter S.A., Garmond Press S.A.,**
Wersja online: **nexto.pl e-Kiosk.pl eGazety.pl eprasa.pl**
Prenumerata redakcyjna:
prenumerata@faktypomitach.pl
miesięczna – 44 zł (4 wydania)
IV kwartał – 143 zł
„DO-CENT" sp. z o.o.
05-840 Brwinów, ul. Pedagogiczna 22
Nr konta: 32 1240 1242 1111 0000 1588 4921
Poczta Polska S.A.: sklep.poczta-polska.pl

eprasa.pl ec2fe7df1d



ZAORANE

Ełk

Sprzedawczyni zgłosiła na policję kradzież butów. Złodziej założył nowe obuwie i wyszedł, zostawiając na półce stare. Niedługo potem poszedł na komendę sprawdzić stan swojej trzeźwości. Pech chciał, że spotkał tam właścicielkę sklepu, która rozpoznała na jego nogach skradzione buty. Okazało się jeszcze, że 24-latek był poszukiwany. Może to były „Buty Sprawiedliwości", które zawsze prowadzą złoczyńcę do kary?

Parczew

Pewien 52-latek 7 lat ukrywał się w Niemczech przed polskim wymiarem sprawiedliwości. Wrócił do kraju, żeby odwiedzić grób matki. Na cmentarzu spotkał policjanta. Ten chociaż był na urlopie zachował zawodową czujność. Rozpoznał poszukiwanego i wezwał patrol. Za niepłacenie alimentów mężczyzna odsiedzi 9 miesięcy. Ciekawe czy jego mama bardziej by się obraziła, że nie odwiedził jej grobu czy, że nie pamięta o swoim dziecku?

Radom

Święto zmarłych stało się świętem życia dla czarnego kota, który ponad 10 dni spędził zamknięty w grobowcu na cmentarzu. Jego miauczenie usłyszeli 1 listopada odwiedzający nekropolię. Rozpoczęła się akcja ratunkowa, ale dwie próby wydobycia zwierzęcia zakończyły się fiaskiem. Zaangażowano nawet sanepid. Ostatecznie kot został uratowany. Życzymy, by już tylko szczęście... miaaał.

Krzewiny

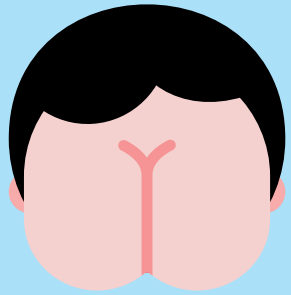
Kierowca jadący ze Zgorzelca usłyszał nagle huk. Kiedy zatrzymał samochód, odkrył, że w przednim „grillu" utknął mu... szop pracz. Po pomoc udał się do Straży Miejskiej. Wezwany na miejsce weterynarz wydostał pasażera na gapę. Szop trafił pod jego opiekę. Wygląda na to, że bardzo chciał się przejechać, ale chyba nie wiedział... którędy się wsiada.

Radomsko

Wkurzony 22-latek wezwał policję, bo wjechał BMW w dziurę i uszkodził samochód. Podczas kontroli funkcjonariusze zauważyli, że licznik auta wskazuje przebieg mniejszy o blisko 130 tys. kilometrów niż ten zapisany w systemie. Kierowca wyjaśnił, że kilka dni wcześniej sam wymienił sprawny licznik, bo... mu się nie podobał. Ten nowy, jego zdaniem, wyglądał lepiej. Jak widać, dziury nie tylko w jezdni potrafią sporo namieszać.

Z PiSiej pupy się wyrwało:

(...) premier wstydzi się polskich uroczystości i dlatego go nie ma. To nie jest przypadek, że po raz kolejny go nie będzie. [...] To jest symbol, że on po prostu nie kocha Polski, nie kocha Polaków, nie kocha patriotów...



Robert Telus
poseł







„Ludzie na krakowskim rynku byli opuszczeni przez policję, choć na szczęście zadziałała straż miejska, pożarna i pogotowie. To wszystko relacjonowałem, wierząc, że służę swoim widzom, wśród których wielu było na rynku. Z tego powodu rozpętano wobec mnie i Republiki piekło. Wiele z tych wypowiedzi zahacza o przestępstwo".

Tomasz Sakiewicz, prawicowy publicysta i wydawca

„Nie możemy (...) milczeć wobec słów Tomasza Sakiewicza na antenie TV Republika. Sugestia, że na miejscu tragedii nie ma policji, ponieważ wszystkie rezerwy zostały wywiezione do Warszawy, jest niedopuszczalnym wykorzystywaniem tragedii do budowania politycznej narracji i nie ma nic wspólnego z dziennikarstwem. Jest to tym bardziej bulwersujące, że podczas pościgu i zatrzymania sprawcy strzelaniny, dwóch policjantów zostało poważnie rannych i wciąż walczy o życie".

Rada Polskich Mediów

„Redaktor T. Sakiewicz pokazywał to, co widział na miejscu. Poza jednym funkcjonariuszem w niestandardowym umundurowaniu ewidentnie brakowało tam policji".

Jarosław Kaczyński, były premier

„Dzisiejszy materiał Republika TV to kompromitacja i całkowity upadek standardów oraz jakichkolwiek wartości. Nie byliście i nie jesteście dziennikarzami. Bo to, co robicie, to nie dziennikarstwo, to propaganda w najobrzydliwszym wydaniu. Teza, że nie było policjantów na początku tragedii, bądź było ich za mało, jest wierutnym kłamstwem".

Karolina Gałecka, rzeczniczka prasowa MSWiA

„Czas reakcji policji był bardzo *krótki*. (....) Świetna reakcja pozostałych służb, Straży Pożarnej, ratowników, służb medycznych, przechodniów, Straży Miejskiej, więc służby zareagowały prawidłowo".

Bartosz Grodecki, szef BBN

***

„Gwałtownie rosnące zadłużenie Polski może ograniczyć zdolność rządu do reagowania na wstrząsy gospodarcze i negatywnie wpłynąć na wzrost gospodarczy. (...) Rząd pod przewodnictwem premiera Donalda Tuska wciąż boryka się z ograniczeniami w realizacji programu legislacyjnego i konsolidacji budżetowej, biorąc pod uwagę prawo weta prezydenta Karola Nawrockiego, który jest politycznie powiązany z opozycyjną partią Prawo i Sprawiedliwość (...)".

S&P, agencja ratingowa

„Brawo, Panie Prezydencie. Świat docenia!".

Adam Szłapka, rzecznik prasowy rządu

***

„To Donald Tusk i jego minister Żurek złamali prawo i w pierwszej kolejności powinni zostać z tego rozliczeni. Dopiero później powinniśmy rozmawiać o dalszych kwestiach, ale już na pewno nie z Donaldem Tuskiem i jego pomagierami, bo oni powinni za to siedzieć. Powinniśmy natomiast rozmawiać w szeroko pojętej prawicy o tym, jak doprowadzić nasze państwo do porządku".

Daniel Obajtek, europoseł PiS

Opr. J. D. C.

eprasa.pl ec2fe7df1d